NUMER GWIAZDKOWY
10 STRON

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Cena 2/6

ROK VII. Nr 51/52 (339/40)

LONDYN, 20-27 GRUDNIA 1953 R.

CHRZEŚCIJAŃSKI SYSTEM WARTOŚCI

BOŻE NARODZENIE i następujące po nim święta przypominają nam fakt, który raz się dokonał przed setkami lat. Ale przypominają nam także drugi fakt, który ciągle w nas się dokonuje i trwa. Pierwszy, historyczny, jest na zewnątrz nas, budzi w nas uczucia lub skłania do rozważań, do dyskusji, do rozumowania. Drugi tkwi w nas, określa nasze duchowe życie, wychowuje nas i formuje, wartościuje nasze sądy i nasze czyny. Pierwszy fakt bowiem, to narodziny Boga w ludzkim ciele; fakt przedziwny, cudowny, pełen tajemnic i jedyny. Drugi zaś fakt, to działanie tego wcielonego Boga w nas przez system wartości, które przyniósł.

Wiemy, ile zapału włożyli pierwsi chrześcijanie w zbadanie pierwszego faktu, w szukanie natury Słowa, które „ciałem się stało". Zdumiewają ludzi czasem dyskusje i walki filozoficzno-teologiczne na ten temat. Jak to — pytają — było możliwe, że nie tylko teologowie i nawet nie tylko filozofowie, ale i prości ludzie staczali z sobą w Antiochii, Aleksandrii, w Efezie, Jerozolimie, boje o to, czy Jezus Chrystus, Syn Boży, był h o m o u s i o s (tej samej natury, co Ojciec), czy też tylko h o m o i u s i o s (podobnej natury)? Albo, skoro był Bogiem, to czy dlatego Nim był, że w czasie „stał się" (po grecku: g e g e n e m e n o s) Bogiem, czy też dlatego, że przed czasem, w wieczności „został zrodzony" (po grecku: g e g e n n e m e n o s) przez Ojca? Słynne spory o jedno „i" i o jedno „n"... Ale chrześcijanin nie będzie się dziwił tym sporom: wie, o jak wielkie rzeczy tu szło. I jest za nie wdzięczny pierwszym soborom i synodom, ich filozofom i ich teologom. Dzięki nim wie, na czym polega natura Boga-Człowieka i jak rozumieć teksty Pisma św. w tej sprawie. Wie, kim był Chrystus.

Spory te należą już do przeszłości. Dogmatyka chrystologiczna jest zamknięta. Otwarte natomiast w pewnym znaczeniu są problemy tyczące się drugiego faktu: treści chrześcijaństwa i jego wartości. To znaczy: o tyle są otwarte, że wymagają ciągłej interpretacji, a to w związku z rozszerzaniem się i pogłębianiem poznania ludzkiego, z rozwojem filozofii i nauk ścisłych, z ewolucją stosunków społecznych.

A więc jakie wartości przyniosło chrześcijaństwo? Naprzód: komu je przyniosło?

Dwa lub trzy lata temu przypadła wielka rocznica pewnego wydarzenia, które w historii chrześcijaństwa stanowi etap niezmiernie ważny, a nawet w pewnym sensie decydujący dla jego rozwoju. Jest to tysiąc dziewięćsetna rocznica tzw. apostolskiego soboru jerozolimskiego, który się odbył w r. 50 lub 51 naszej ery.

Wiadomość o tym soborze mamy w Dziejach Apostolskich (XV, 1-30) i w liście św. Pawła do Galatów (II, 1-10). Sobór ten był zwołany dla rozstrzygnięcia sporu o to, czy nawracającym się na chrześcijaństwo poganom należy nakazywać przestrzeganie przepisów prawa Mojżeszowego (w szczególności obrzezania), czy też nie. Szło więc o to, czy chrześcijaństwo ma być ograniczone do narodu żydowskiego, więc czy ma być tylko jeszcze jedną sektą żydowską — czy też ma mieć charakter religii uniwersalnej, ponadnarodowej, ogólnoludzkiej? Tak się bowiem zarysowały wówczas dwa stanowiska: w Jerozolimie i w Antiochii.

Św. Paweł, który już wtedy działał wśród pogan, podkreślał prawdę, że Syn Boży przyszedł na świat dla zbawienia wszystkich ludzi; dlatego sam, choć Żyd, zwrócił się do pogan. Inne stanowisko zajmowali chrześcijanie należący do narodu żydowskiego, w szczególności nawróceni faryzeusze, wpływowi w gminie jerozolimskiej; ci chcieli chrześcijaństwo ograniczyć do Żydów, a jeśli godzili się na dopuszczenie pogan, to jednak żądali od nich przyjęcia prawa Mojżeszowego. „Jeśli się nie poddacie obrzezaniu, nie możecie być zbawieni" (Dzieje Apost., XV, 1), — jak jerozolimscy chrześcijanie pochodzący z Żydów postawili sprawę chrześcijanom z pogan w Antiochii. Starcie dwóch sprzecznych poglądów.

I sprawa nie była łatwa do rozstrzygnięcia. Paweł przypominał słowa Chrystusowe do Apostołów: „Idąc na cały świat, nauczajcie wszystkie narody". Przeciwnicy zaś — Jego przykład w zachowywaniu prawa Mojżeszowego. Pierwsi mieli za sobą autorytet Pawła, niezmordowanego nauczyciela pogan. Drudzy — Jakuba, biskupa Jerozolimy, krewnego samego Chrystusa. Młody Kościół znalazł się wobec dylematu: religia narodowa, czy Kościół powszechny?

W takich warunkach odbył się ów sobór jerozolimski. Brali w nim udział apostołowie Piotr, Jan, Jakub, nadto Paweł z Barnabą i może z Tytusem. Z jego przebiegu znamy tylko treść przemówień Pawła, Piotra i Jakuba. Znamy wreszcie decyzję soboru, „list" wysłany do Antiochii.

Mowa Piotra była uderzeniem w pozycję „żydujących" (jak pisał Wujek); była odepchnięciem myśli o chrześcijaństwie jako o narodowym Kościele. Po nim przemawiali Barnaba i Paweł, kreśląc dzieje swego owocnego apostolstwa wśród pogan. Wrażenie tych mów było tak wielkie, że Jakub ustąpił ze swego pierwotnego stanowiska, zadowalając się tylko nałożeniem na chrześcijan, którzy się rekrutowali z pogan, czterech obowiązków. W tym też duchu sobór zredagował rezolucję przesłaną Antiochii.

Znakomity historyk chrześcijańskiej starożytności, Duchesne, nazywa ten wynik soboru apostolskiego „nową konstytucją Kościoła". Pierwszą była Chrystusowa ewangelia. Drugą — ów „list" do Antiochii. W każdym razie trzeba powiedzieć — sobór jerozolimski wytyczył i ustalił drogę pochodu Kościoła w przyszłości. A — mówiąc pozytywnie — pchnął go ostatecznie na drogę Chrystusowego uniwersalizmu. Od tego czasu nigdy już nie pojawi się w Kościele wątpliwość „żydujących" chrześcijan z Jerozolimy. Na zawsze stało się jasne, że wielkie wartości, które Syn Boży przyniósł na świat, są własnością wszystkich i dla wszystkich ludzi są przeznaczone. Odtąd w Kościele nie będzie narodów ani klas społecznych, uprzywilejowanych lub pokrzywdzonych. Nie ma w nim „różnicy między Żydem a Grekiem, bo jeden jest Pan wszystkich" — powie św. Paweł (Rom. X, 12). Wartości chrześcijaństwa są dla wszystkich ludzi. Lecz na czym one polegają?

Pojawił się w ostatnich kilkudziesięciu latach w filozofii kierunek usiłujący uporządkować tę sferę naszego życia umysłowego, która polega na wydawaniu „sądów wartościujących". Nazywa się go „aksjologią" (od greckiego a k s i o s — słuszny, oczywisty). Do wybitniejszych jego przedstawicieli należą: Max Scheler, Heidegger, Nicolai Hartmann... Dzięki nim lepiej sobie zdajemy sprawę ze sposobu powstawania tych sądów, ze struktury naszego wartościowania. Ale właściwej wiedzy o naturze wartości oni nam nie dali. Dać zresztą nie mogli. Czyż pojedyńczy rozum ludzki, rozum oparty o autorytet jednostki i doświadczenie jednostki, może przekonać wszystkich ludzi o niemylności prawdziwości tego systemu wartości, który ona sama ustaliła? Czy jest autorytet ludzki tak wielki, że wobec niego musiałyby skapitulować wszystkie mniejsze autorytety ludzkie, wszystkie uczucia i zapędy jednostkowe i zbiorowe, które kierują poczynaniami jednostek i społeczeństw? Czy udało się komuś, lub czy może się udać komuś ujarzmić uczucia i wolę, popędy i świadome dążenia ludzkie, i pokierować nimi?

To, czego nie zdoła człowiek, czyni Chrystus. Jego rola w tej dziedzinie polega na tym, że zhierarchizował to wszystko, co się nazywa wartością, że te wartości uporządkował i miejsce im właściwe w tej hierachii wyznaczył.

Zauważono już wielokrotnie, że w objawieniu Chrystusowym są afirmowane wszystkie wartości ludzkie. I duch, i materia, i dusza, i ciało, i rodzina, i klasa, i ojczyzna, i państwo, i naród, i ludzkość, i produkcja, i handel... Są, ale są ustawione na miejscach właściwych, są zhierarchizowane.

Zuważono także, że wartości naczelne w objawieniu chrześcijańskim przeważają w razie konfliktu z wartościami niższego stopnia, że dlatego człowiek jest obowiązany do poświęcenia swego życia w obronie zagrożonego państwa, a dziecko winno zrezygnować ze swych upodobań, gdy tego żąda rozumny rozkaz ojca.

Można do trzech sprowadzić naczelne wartości chrześcijaństwa: Bóg, dusza, osoba ludzka.

Bóg, jako Stwórca, Prawodawca, przyszły Sędzia — jest wartością najwyższą, celem ostatecznym.

Dusza jako byt samoistny, będący podłożem naszego duchowego życia, ma prymat w stosunku do ciała i materii.

Osoba ludzka, jako byt isniejący przez siebie i dla siebie (tj. dla celu sobie tylko właściwego), jako jednostka rozumna — stanowi miarę rzeczy. Dla niej istnieje rodzina, państwo, naród i życie gospodarcze. Przez nią bogaci się życie społeczne w ładzie i pokoju.

A więc — teocentryzm, spirytualizm i personalizm.

Współcześni aksjologowie lubią odwoływać się do Kanta jako pierwszego aksjologa. Trudno jednak powiedzieć, by ten wielki filozof nowożytny rozwiązał zagadnienie wartości. Przytacza się słynne jego zdanie: „Tak postępuj, by twoje postępowanie mogło służyć za regułę powszechną". Zasada jest niewątpliwie szlachetna, ale i niepraktyczna, a przede wszystkim niebezpieczna; albowiem nasze wartościowanie Kant czyni w gruncie rzeczy funkcją jednostkowego rozumu, subiektywizuje, wydaje na łup swawoli ludzkiej wyobraźni, uczuć, rozumu.

Chrystus natomiast wskazuje nam obiektywny system wartości, więc system, który nie my stworzyliśmy, któremu winniśmy się poddać. Wartość w filozofii tomistycznej jest cechą bytu, nie tworem naszego umysłu lub pożądania; nie byłoby pożądania, gdyby nie było obiektywnej wartości w bycie.

Rozważając w tych dniach tajemnicę narodzin Syna Bożego, wiedzmy, że jednym z celów Jego przyjścia na ziemię było pouczenie nas, na czym polega prawdziwa wartość i jaki jest bezpieczny system wartości.

Ks. Jan Piwowarczyk

(„Tygodnik Powszechny" 1950 r.)



Rembrandt **HOŁD PASTERZY**

MICHAŁ SAMBOR

PRZEBUDZENIE

A więc to tak? Tak, tak. Wszystko, co nas otacza — znaczy. Znaczy i sięga w głąb, jak ząb, biała skałka, wrosła krwawo długimi korzeniami w dziąsło, jak okręt w dziewięciu dziesiątych zanurzony w oceanie.

Dość przetrzeć oczy, by ujrzeć, że wszystko, co nas osacza, jest powierzchnią, znakiem, opakowaniem.

Widzisz te drzewa na widnokręgu, strzeliste i rzeczywiste? Przeciągnąć po nich palcem, a tryśnie płomień albo buchnie woda! Paznokciem jak diamentem zdrapać szybę nieba, podnieść kamień, rozłupać kłodę drzewa, przetrzeć mgłę przeźroczystą, zetrzeć pył niewidzialny i — dotrzeć, znaleźć, znaleźć się w swoim żywiole!

Przed bez mała dwoma tysiącami lat z żywiołu wychynęło niemowlę, które świat podpaliło i do którego po wodę żywą przychodzą spragnieni, w tę noc ze snu wyrwani, zaspani, niedocuceni, i zasypiają ciężko — znużeni i przerażeni, aż się po wielu nocach i niewielu przedwczesnych rankach zrywają ze snu doczesnego na żywot wieczny. Tak. Tak. Tak niech się stanie.

Michał Sambor

CHÓR WIEKÓW PRZED DZIECIĄTKIEM

IZAJASZ:

Maluczki nam się narodził i Syn jest nam dany: na Jego ramionach władza królewska; a Jego imię Wielkiej Rady Wysłannik.

Wstań, oświeć się, Jeruzalem: bo przyszła światłość twoja, a sława Pańska wzeszła nad tobą.

ZACHARIASZ:

Raduj się wielce, grodzie Syjoński; wykrzykuj, Jeruzalem: oto Król twój przychodzi, On święty i Zbawiciel.

AUTOR PSALMÓW:

Stolica twoja, Boże, na wieki wieków; berło prawości — berło królestwa twego.

Lata twoje od wieku do wieku. Tyś, Panie, na początku ziemię ugruntował i dziełem rąk twoich są niebiosa. One poginą, ale Ty zostajesz; i wszystkie jako szata zwiotczeją, i jako odzienie odmienisz je, i odmienią się; ale Ty ten sam jesteś i lata twoje nie ustaną.

AUTOR TRENÓW:

Nawróć nas, Panie, ku sobie, a nawrócimy się, odnów dni nasze jako pierwej.

MARYJA:

Wielbi dusza moja Pana i rozradował się duch mój w Bogu, Zbawicielu moim.

ANIOŁOWIE:

Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

PASTERZE:

Pójdźmy do Betlejem, a oglądajmy to Słowo, które się stało, które nam Pan oznajmił.

MĘDRCY ZE WSCHODU:

Widzieliśmy gwiazdę Jego na wschodzie i przyjechaliśmy pokłonić się Jemu.

SYMEON:

Teraz puszczasz, Panie, sługę twego w pokoju, według słowa twego, gdyż oczy moje oglądały zbawienie twoje, które zgotowałeś przed obliccznością wszystkich narodów: Światłość na objawienie pogan i chwałę ludu twego izraelskiego.

JAN CHRZCICIEL:

Oto Baranek Boży, oto który gładzi grzech świata.

PIOTR:

Panie, do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa żywota wiecznego.

Ty jesteś Chrystus, Syn Boga żywego.

PAWEŁ:

Gdy przyszła pełność czasu, zesłał Bóg Syna swego uczynionego z niewiasty, uczynionego pod Zakonem, aby tych, którzy pod Zakonem byli, wykupił, żebyśmy dostąpili przybrania za synów.

JAN:

A Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami: i oglądaliśmy chwałę Jego, pełnego łaski i prawdy, chwałę jako jednorodzonego od Ojca.

I wiemy, że Syn Boży przyszedł i uzdolnił nas, abyśmy poznali prawdziwego Boga i złączyli się z prawdziwym Synem Jego.

ANDRZEJ:

Znaleźliśmy Mesjasza.

FILIP:

Znaleźliśmy Tego, o którym pisał Mojżesz w Zakonie i prorocy, Jezusa, syna Józefa, z Nazaretu.

NATANAEL:

Rabbi, Tyś jest Syn Boży, Tyś jest Król Izraela.

TOMASZ:

Pan mój i Bóg mój!

MARIA MAGDALENA:

Rabboni!

IRENEUSZ:

Z niezmiernej swej miłości stał się tym, czym my mamy stać się, to jest tym, czym On sam jest.

ATANAZY:

Dlatego Syn Boży stał się Synem człowieczym, aby synowie człowieka, to jest Adama stali się synami Boga. On jest Synem Boga z natury, my zaś przez łaskę.

AUGUSTYN:

Jest jasne, że Bóg nazwał ludzi bogami, dlatego że są przebóstwieni przez Jego łaskę, a nie dlatego że są zrodzeni z Jego istoty.

AMBROŻY:

Dobroci Nieskończona, a straszliwy Majestacie, w mej nędzy uciekam się do Ciebie, który jesteś źródłem miłosierdzia, śpieszę do Ciebie, aby zostać uzdrowionym, uciekam się do twojej opieki; a nie mogąc wytrzymać surowości Sędziego, wzdycham do miłosierdzia Zbawiciela.

BONAWENTURA:

Ciebie, w którego Anieli pragną bez końca się wpatrywać, niech zawsze pożąda serce moje, niech się Tobą nasyca i niechaj słodyczą twoją napełni się wnętrze duszy mojej.

(Dokończenie w łamie 6)

O. KAROL V. OOST, O. S. B.

„SYN NAM JEST DANY"

Kto raz w ciszy wypełnionego po brzegi kościoła usłyszał podczas wigilijnej jutrzni Bożego Narodzenia słodki i ożywiający, jakby ze sklepienia padający, głos kantora, opowiadającego cud nad cudami i przyjście Mesjasza, przez Izajasza zwiastowanego, nigdy nie zapomni o wstrząsie wewnętrznym, jaki wówczas przeżył.

Mowy nie ma o zachowaniu obojętnej postawy niczym wobec oklepanej pieśni, choć dochodzące nas słowa są stare, bardzo stare. A jednak do dziś dnia proroctwo nie traci nic ze swej świeżości. Słusznie powiedział Peguy: „Wcielenie jest najbardziej przejmującym zdarzeniem, które kiedykolwiek się stało". A właśnie w tym jest cały sens! Człowiek na nowo sobie przypomina niesłychaną prawdę, fakt historyczny, który wstrząsnął wiekami: „Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami". Jakże tępa jest ludzka natura! Od dziecinnych lat słyszeliśmy opowieść o Zwiastowaniu, ale, jak zawsze, rzeczy codzienne powszednieją.

Nasze chrześcijaństwo zawiera w sobie o wiele więcej, niż potrafimy znieść i przed tym ogromem jesteśmy beznadziejnie mali i ciaśni. Dogmaty nie są dostosowane do naszych miar, bo stanowczo byłyby śmieszne.

Prorok Izajasz w nieco sybilijskich zwrotach opowiada fantastyczną epopeję Słowa Wcielonego: „Lud, który chodził w ciemności, ujrzał światłość wielką; mieszkającym w krainie cienia śmierci światłość im wzeszła... albowiem maluczki narodził się nam, syn jest nam dany, stało się panowanie na ramieniu jego, nazwą imię jego: Przedziwny, Radny, Bóg, Mocny, Ojciec przyszłego wieku, Książę Pokoju". (Izajasz IX, 1, 6 passim.)

Głos kantora robi się jeszcze słodszy i bardziej przekonywujący: „Pocieszcie się, pocieszcie się, ludu mój! Mówi Bóg wasz. Mówcie do serca Jeruzalem, przyzwijcie je, bo się skończyła złość jego, odpuszczona jest nieprawość jego" (ibidem XL 1-2). Następuje frapująca antyteza między ludzką naturą a słowem Bożym: „Wszelkie ciało trawa, a wszelka chwała jego jako kwiat polny. Uschła trawa i opadł kwiat, lecz słowo Pana naszego trwa na wieki." (ibidem 6-7). Wreszcie Izajasz kończy mocną zachętą do odwagi i wytrwałości oraz do zerwania ze stanem niewolnika, bo... „oto pozna lud mój imię moje w ten dzień i że to Ja sam, którym mówił: Otom jest!" (LII 6).

W tej chwili słuchacze pojmują całe bogactwo zawarte w imieniu: Emanuel — „Bóg z nami". Owszem, „wszelkie ciało trawa a wszelka chwała jego jako kwiat polny". Mamy całe życie, by doświadczyć rzeczywistości naszego ludzkiego dramatu. Nigdy nie braknie tych opadłych kwiatów na brzegach dróg. I tak było przed Chrystusem i po Nim, one nie przestały kwitnąć ani więdnąć, jednak „słowo Pana naszego trwa na wieki! Otom jest!" I w szarzyźnie dni i lat nieustanność słowa wybucha i błyszczy jak promień słońca! Rozumiemy teraz, że pasterze ani się nie zdziwili ani nie zostali rozczarowani, kiedy ujrzeli wątłe niemowlątko w żłobie. Czyż nie słyszeli pieśni anielskiej i wielkiej nowiny: „Wam się dziś narodził Zbawiciel, który jest Chrystus Pan w mieście Dawidowym. A ten znak dla was: znajdziecie niemowlątko owinięte w pieluszki i położone w żłobie"? (Łuk.2.13). Później powiedzą o nim: „skądże mu ta mądrość i moc? Czyż nie jest to syn cieśli? Czyż matki jego nie zwą Maryją, a braci jego Jakubem i Józefem, Szymonem i Judą"?

Rzeczywiście, należy On do rodziny skromnego rzemieślnika. Ma, jak każde dziecię, matkę swoją i wiejskim sposobem opowiadają o jego kuzynach, o jego parenteli i koligacjach, a starzy wspominają sobie, kto to był jego dziad i pradziad.

Ewangelia podała nam całą jego ludzką genealogię. Gdybyśmy żyli w wielkim wieku Ludwika XIV, moglibyśmy razem z Bossuetem wychwalać zaszczyt dla Maryi pochodzenia z książęcego rodu Dawida, ale...

Czego tam nie ma w tym drzewie genealogicznym? Patriarchowie wielcy: Abraham — amicus Dei, któremu obiecane było, że będzie ojcem wielkiego narodu i że jego imię będzie błogosławione, a nasienie jego rozmnoży się jako gwiazdy niebieskie. Jest Jakub, zasłużony sługa Boży, bo przecież ciężko pracował, zanim dostał swą Rachelę, a potem jak wiele kłopotów zaznał od swych licznych synów! Ale obok zacnych i świętych mężów Bożych byli i tacy, którzy wcale się nie odznaczyli świątobliwością. Nie wszystkie nawet patriarchalne obyczaje uchodzą dzisiaj! Lecz z królami było jeszcze gorzej. Choć Dawid ocala nieco godności królewskiej, ma on jednak wiele na sumieniu: porwanie Betsaiby, mord Uriasza; lecz Dawid szczerze żałował i pokutował: „miserere mei, Deus — zmiłuj się nade mną, Panie, według wielkiego miłosierdzia Twego... bom świadom jest mej winy". (Ps. 50.) Salomon wspaniały, ale po kilku latach panowania robi się pysznym, zuchwałym i zdradza swego Boga. Po nim, poza paroma wyjątkami, cały szereg rozpustników, bałwochwalców, takich, którzy, jak często powtarzają księgi kronik, „czynili złość przed oczyma Pańskimi".

W tej genealogii jest kilka postaci niewiast, niewiast grzechu. Thamar, która popełnia kazirodztwo za kazirodztwem; Rachel zwykła kurtyzana; Ruth, mimo całego swego uroku, poganka, Moabith i Betsaiba niewiasty cudzołożące z Dawidem! Potem genealogia, po przejściu do Babilonu, wzmiankuje o całym szeregu postaci nieznanego autoramentu. Kim byli ci ludzie? Owszem, noszą piękne imiona: Eliacim: Bóg zmartwychwstający, Azor: pomocnik, Sadok: sprawiedliwy, Achim: ten jest moim bratem; lecz co się ukrywa pod tymi nazwiskami? Zawsze to samo ludzkie życie! Tylko przy samym końcu zdanie się rozszerza jak dolne gałęzie potężnego drzewa i po raz pierwszy słyszymy trzy święte imiona skojarzone: Józef — ten, który daje rośnięcie, Maryja — lub Myriam, przez Boga umiłowana i Jezus — Zbawiciel.

Zaiste, Chrystus był człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu, należy do naszej rasy i ma coś w sobie z tej splamionej krwi. Widocznie niczego nie chciał sobie oszczędzić. „Vir dolorum et sciens infirmitatem". (Is. LIII. 3). „Nie mamy — powie św. Paweł — takiego arcykapłana, który by nie mógł naszym słabościom współczuć, doświadczonego na podobieństwo nas we wszystkim, prócz grzechu". (He. 4. 15).

Giovanni Guardini w swej książce „Der Herr" pisze, że z wielkim prawdopodobieństwem Jezus w Nazarecie nieraz rozważał całą swą ludzką genealogię, wszystkie te imiona i głęboko odczuwał znaczenie tych słów: dzieje ludzkie lub syn człowieczy. I tego, co zauważył u swych przodków mógł również doświadczyć u swoich współczesnych. Ewangelia na czwartą niedzielę Adwentu wymienia kilka imion ówczesnych panujących: Tyberiusza, Piłata, Heroda, Annasza i Kaifasza. Żaden z nich nie daje nam jakiejkolwiek gwarancji cnotliwego życia. Wystarczy choćby pobieżnie poznać historię, by zdać sobie sprawę, do czego zdolni byli ówcześni cesarze, gubernatorzy, książęta i arcykapłani.

Czy człowiek dużo się zmienił od tego czasu? Może dzisiejsze pokolenia naprawiły krzywdy poprzednich? Ba! Wojna pokazała, kim jest człowiek i do czego zdolny jest człowiek bez Boga. Wszyscy mamy w pamięci i w oczach Oświęcim, Dachau, Majdanek, eksterminację warszawskiego ghetta. Kto potrafi opisać to, co się dzieje teraz w syberyjskich obozach? Do czego prowadzi chęć panowania, pragnienie pieniędzy i rozkoszy, nienawiść i prywata? Bez wątpienia mieliśmy bohaterów, mamy świętych. Jednak człowiek nie zmienia człowieka a jedynie łaska Boża potrafi przekształcić błotnistą wodę w najlepsze wino, tak jak ongiś w Kanie Galilejskiej. „Wszelkie ciało trawa a wszelka chwała jego jako kwiat polny"!

Niemniej jednak człowiek dwudziestego wieku nie może lubować się w pesymizmie, nie mamy prawa znajdować upodobań w nim. Byłoby to zniewagą względem Emanuela. Ten wielki okrzyk zaś, który z kuli ziemskiej co rok wznosi się z nastaniem Bożego Narodzenia, to okrzyk nadziei i radości, boć Emanuel, Bóg z nami. Słowo mieszka między nami!

Niech będzie człowiekiem, to tym lepiej, niech dozna naszych ludzkich, ziemskich słabości i walk, niech wszystko co ludzkie będzie mu bliskie, ale wierzymy i ogłaszamy, że Mesjasz jest Bogiem, Mocnym, Księciem pokoju. Bo Pan Jezus posiada podwójną genealogię. Patrzcie! „Na początku było Słowo a Słowo było u Boga i Bogiem było Słowo". (Jan, I. 1.) Lecz nikt z nas nie jest zdolny opowiedzieć genealogii Słowa Wcielonego: „Rodzaj Jego, kto wypowie." (Iz. LIII. 8.) Często Chrystus w Ewangelii podkreśla, że pochodzi od Ojca, że Ojciec i On są jedno, że jest Synem upodobań Ojca, a dlatego że jest Bogiem, jest i żywotem i światłością!

Byli i będą tacy, którzy światłości nie przyjmują. „Ciemności nie ogarnęły Jej." (Jan, I. 6.) Ogarnąć światłość! Czy to nie owoc tej całej uroczystości Bożego Narodzenia? Bo jeżeli nie, to po co nasza nadzieja i radość w tym dniu?

Zrozumieć musimy, że i u nas, synów Kościoła, panuje również tajemnica dwóch odrębnych genealogii, tajemnica podwójnej obecności u człowieka: światłości i ciemności, ducha i ciała, mocy i słabości, syna Bożego i syna człowieczego. Ale przyjście Zbawiciela, jego wcielenie się, jeśli one tłumaczą nasz wrodzony dualizm wewnętrzny, to i również żądają od nas zwycięstwa Syna Bożego, bo sam On powiedział: „Ufajcie, jam zwyciężył świat." (Jan, 16. 33.)

Nic dziwnego więc, że syn Kościoła jest i pozostanie niezwyciężonym optymistą.

O. Karol Van Oost O.S.B.

FELIKS BOHDANOWICZ

CZY ZŁO ISTNIEJE?

Wydaje się, że tego rodzaju pytanie jest zwrotem czysto retorycznym. Zwłaszcza w obecnych czasach, a tym bardziej dla nas, Polaków, dla których zło stało się chlebem powszednim, kiedy — mówiąc słowami bohatera powieści Janiny Węgrzyńskiej-Kościałkowskiej („Pasja z Cergowej Góry", ŻYCIE nr 46/334) — „zbutwieliśmy w szarzyźnie, zwyczajni każdego zła jako jedynej prawdziwej niezawodności".

Zresztą pesymizm jest dzisiaj górującym motywem w twórczości literackiej, która przecież ma być odzwierciedleniem życia. Wystarczy przypomnieć najwybitniejsze współczesne „powieści katolickie", aby stwierdzić, jak dalece ich autorzy są pod sugestią potęgi zła — widać to na perypetiach ich książkowych bohaterów. I w literaturze publicystycznej spotykamy również wypowiedzi, w których zło awansuje się do rangi absolutu. W jednym z numerów „Orła Białego" w artykule p. t. „Pod znakiem Krzyża", autor, omawiając sytuację obecną, widzi w niej „przejawy walki między odwieczną prawdą a odwiecznym kłamstwem, między odwiecznym dobrem a odwiecznym złem".

Zagadnienie zła pasjonuje ludzkośc od początku jej istnienia. Nie ma religii, która by w ten czy inny sposób nie próbowała rozwiązać tego zagadnienia. Również i dla filozofii, a raczej jej najistotniejszej części — metafizyki, próbującej dotrzeć do sedna bytu, sprawa ta posiada swój ciężar gatunkowy. Nie jest to zagadnienie czysto akademickie, jak zresztą w ogóle wszelkie kwestie religijne i filozoficzne. Wiemy jak przesadna wiara w potęgę zła, tkwiącego w naturze ludzkiej, doprowadziła w dziedzinie religijnej do błędnych konkluzji protestantyzmu oraz w łonie katolicyzmu do bardziej jeszcze niebezpiecznych, potępionych jako herezja tendencji jansenistycznych. Nic innego, jak brak wiary w człowieku sprzyjał powstaniu wszelkiego rodzaju prądów totalistycznych. Podobnie jak przesadny optymizm i negowanie istnienia poważnych braków w naturze ludzkiej doprowadziły do znanych a bardzo szkodliwych przerostów liberalizmu. Zresztą i w życiu indywidualnym każdego człowieka wyrobienie właściwego poglądu na zagadnienie zła może nieraz mieć decydujący wpływ na dalsze losy. Wystarczy przytoczyć przykład św. Augustyna, który zwrócił swe filozoficzne zainteresowania w kierunku chrześcijaństwa właśnie na tle zagadnienia zła, ponieważ wyznawane przezeń zasady manicheizmu nie dawały logicznego rozwiązania tej kwestii.

Toteż warto się przyjrzeć temu zagadnieniu, tak jak ono się przedstawia w ujęciu metafizyki arystotelesowsko-tomistycznej, chociażby w sposób bardzo pobieżny i powierzchowny.

Każdy przedmiot, rzecz — w najogólniejszym słowa tego znaczeniu — czy to będzie byt aktualny, czy tylko pomyślany, a będący obiektem naszego poznania, musi wylegitymować się przed naszym umysłem, dostarczając odpowiedzi na dwa zasadnicze pytania: czym jest i czy jest? (Przypomnijmy, że bytem nazywamy wszystko to, co jest lub co może być).

Odpowiedź na pierwsze pytanie dotyczy istoty rzeczy (jej natury), zaś drugie pytanie — istnienia, egzystencji.

Związek między istotą a istnieniem nie jest konieczny, zaś różnica między nimi jest realna a nie tylko myślna. Można np. pomyśleć szereg bytów możliwych — nieistniejących lub jeszcze nie zrealizowanych. N. p., „rzekę mlekiem płynącą" lub szklane domy Żeromskiego. Byle by tylko nie zawierały sprzeczności w swej istocie, jak np. w pojęciu „trójkąt kwadratowy". Istnienie tego rodzaju „bytu" jest wykluczone ze względu na wewnętrzną sprzeczność zachodzącą w samej istocie. Nawet Bóg nie może powołać do istnienia bytu sprzecznego, bo wówczas uległaby pogwałceniu kardynalna zasada niesprzeczności, bez której jest niemożliwe jakiekolwiek rozumowanie.

Tylko w Bogu związek między istotą a istnieniem jest konieczny i nierozerwalny, a rozróżnienie między nimi może być jedynie myślne, nie zaś realne, gdyż istnienie jest istotą Boga („Jam jest, Który jest"). Bóg jest nieogarnionym oceanem istnienia i udziela innym bytom według swej woli pewnego quantum istnienia.

Jak wiemy z ogólnych zasad nauki o bycie (metafizyki), każdy byt jest dobry (dotyczy to bytu aktualnego, nie zaś możliwego). Byt i dobro są pojęciami o różnej wprawdzie treści, lecz o jednakowym zakresie. To znaczy, że ilekroć występuje byt, tylekroć i dobro. Każdy byt jako byt jest dobry. I wszystko, co jest dobre, jest bytem.

Ponieważ zło jest przeciwieństwem dobra, zaś między dobrem a bytem pod względem zakresu postawiliśmy znak równości, więc zło jest w stosunku negatywnym do bytu.

Zło jest brakiem jakiejś istotnej cechy bytu, należnej mu z natury, z jego istoty. Brak wzroku w człowieku jest złem. Jest to zło fizyczne. Brak cnoty sprawiedliwości u zwierząt nie jest złem, bo cecha ta nie należy do natury istot nierozumnych. Natomiast w człowieku brak ten jest złem. Jest to zło moralne.

Ponieważ zło jest brakiem jakichś cech bytu, należnych mu z jego istoty, zachodzi pytanie, czy może istnieć zło absolutne (podobnie jak istnieje absolutne Dobro — Bóg). Oczywiście, że nie. Bo absolutne zło, a więc zupełny brak wszystkich cech bytu, czyni zeń niebyt. Czyli zło absolutne jest nicością. Taki byt byłby sprzecznością w sobie, podobnie jak np. koło kwadratowe: byt, który nie jest bytem, koło, które nie jest kołem.

Aryman więc nie może istnieć metafizycznie, bo tkwi w nim sprzeczność logiczna. A poza tym, czy można sobie wyobrazić istnienie równocześnie Ormuzda i Arymana — dwóch odrębnych i wrogich sobie absolutów? Jeden ograniczałby drugiego, a więc żaden nie miałby kwalifikacyj na absolut.

Stąd też wypływa wniosek, że szatan nie może być istotą absolutnie złą, gdyż inaczej nie mógłby istnieć i że tkwią w nim pewne pierwiastki dobra, które składają się na byt i warunkują go.

A teraz drugie pytanie: czy i w jakim stopniu istnieje zło względne?

Oczywiście, że i w tym wypadku zło samo w sobie, jako brak czegoś, nie istnieje realnie. Brak, na przykład, nogi u psa nie jest bytem. Lecz pies o trzech nogach może istnieć, brak należnej mu z natury czwartej nogi czyni go bytem złym względnie. Podobnie jak brak w człowieku jakiejś istotnej dlań cechy np. poczucia sprawiedliwości czyni go częściowo, relatywnie złym. Ale taki człowiek, oczywiście, może istnieć.

Reasumując, możemy więc powiedzieć, że zło samo w sobie, będąc brakiem, jest niebytem. Zło absolutne w ogóle istnieć nie może ani w samym sobie ani w czymś, gdyż w istocie jego tkwi już sprzeczność. Natomiast zło względne, nie istniejąc w sobie jako takie, może istnieć w jakimś bycie, a tym samym w jakimś dobru, oczywiście względnym.

Oto jak zwięźle i jasno formułuje to zagadnienie św. Tomasz z Akwinu:

„Zło, przeciwstawiając się z swej natury dobru, przeciwstawia się również i bytowi. Co zaś przeciwstawia się bytowi, nie może być czymś realnym; stąd wnoszę, że zło jako takie jest niczym. Lecz to, co jest złe, jest czymś. (De malo, q. 1, a 1. Klimke. Historia filozofii cz. I.)

Widzimy więc jak słabe są podstawy metafizyczne zła i jak ogromna jest w tym względzie przewaga dobra. Fakt ten winien służyć za niewzruszoną podstawę optymizmu i być źródłem wewnętrznej mocy w walce o lepszy świat, którego stworzenie jest wyrazem najbardziej miarodajnego optymizmu, bo optymizmu samego Stwórcy.

Zło nie jest tworem Boga: nie jest ono bytem. Zło moralne (grzech) nie jest sankcjonowane przez Boga, aczkolwiek dopuszczane przezeń ze względu na wielkie dobro, jakim jest wolność woli. Zawsze w mądrości swej potrafi Bóg złe skutki grzechu obrócić na korzyść. „Wyście o mnie źle myśleli, ale Bóg obrócił to w dobro" — mówi Józef do swych braci (Rodz. 50, 20).

Zło nie jest nawet przedmiotem pożądania ludzkiego. Nikt nie pragnie zła jako takiego, z wyjątkiem chyba wypadku obłędnej perwersji i dążenia do samounicestwienia. Tylko dobro może być przedmiotem pożądania. Więc gdzie jest źródło zła — braku dobra? Tkwi ono w nadużywaniu przez człowieka wolnej woli, a to przez wybór takiego d o m n i e m a n e g o dobra, które nie jest zgodne z normami etycznymi, z wolą Boga, wskutek czego człowiek w swym działaniu odwraca się od celu, właściwego istocie ludzkiej.

Istnieje przedziwna analogia między dobrem a światłością, tą światłością, która nie bez głębokiej racji tak często występuje na kartach Ewangelii jako przeciwstawienie mrokom niebytu. Istotną cechą światła jest promieniowanie. Podobny charakter ma również dobro, które z natury swej jest rozlewne, twórcze i pragnie wszystko włączyć w krąg swego działania.

To, co św. Jan Ewangelista mówi o światłości, niewątpliwie można odnieść do dobra:

„A światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły."

„Cały ruch bytów — to wznoszenie się od braku, będącego względnym złem, ku najwyższemu Dobru, będącemu też pełnią Bytu" (Sertillanges).

I w kierunku usuwania braków ma działać dobra wola ludzka. Wówczas dopiero spełni się to pierwsze życzenie świąteczne przesłane dla ludności od mieszkańców niebios:

„...a na ziemi pokój ludziom dobrej woli".

Feliks Bohdanowicz

KRONIKA

DZIAŁALNOŚĆ ARCYBISKUPA GAWLINY

Biuro Arcybiskupa Józefa Gawliny, Opiekuna Uchodźców Polskich, podaje wykaz prac, wykonanych w ciągu bieżącego roku w interesie Polski oraz uchodźców, rozrzuconych po świecie.

CO ZROBIONO W 1953 R.?

1) Zorganizowano uroczystość 700 lecia kanonizacji św. Stanisława w Asyżu. 2) Urządzono kolonie letnie dla sierot i biednych dzieci we Włoszech, Niemczech, Danii i Hiszpanii i udzielono ponad dwa tysiące dolarów biednym rodakom we Włoszech. 3) Utworzono Centrum Duszpasterstwa dla DP we Włoszech. 4) Zapłacono 7 księżom operacje i kuracje oraz klinikę dla ks. biskupa Dubowskiego. 5) Udzielono 15 księżom stypendiów naukowych. 6) Dano większe zapomogi na Nowicjat Chrystusowców, na Kolegium Polskie w Rzymie i na Akcję Katolicką. 7) Wysłano za przeszło dwa tysiące dolarów książek naukowych do Kraju. 8) Przeprowadzono akcję prasową i protestacyjną w sprawie Ks. Prymasa. 9) Wydano książkę ks. dra Lisowskiego o kanonizacji św. Stanisława i o. J. Warszawskiego: „La Chiesa eroica di Polonia". 10) Ks. Arcybiskup przeprowadził wizytację w Szwecji, w Danii oraz w Turcji i głosił rekolekcje w Belgii i w Niemczech.

Na rok 1954 polecił Sekretariat Stanu Ks. Arcybiskupowi dodatkowo jeszcze założyć Centrum Informacji i Dokumentacji dla spraw kościelnych w Polsce.

WZAJEMNE NIEZROZUMIENIE.

Utworzony dwa lata temu z siedzibą w Zurychu Międzynarodowy Instytut Prasowy ogłosił świeżo pierwszy swój obszerniejszy raport. Stara się on dać odpowiedź na pytanie: jaki obraz wytwarza wzajemnie w umysłach czytelników prasa Stanów Zjednoczonych, Europy Zachodniej i Indii, jeśli chodzi o te właśnie kraje. Raport dochodzi do wniosku, że mimo sprawnego działania tysięcy agencji prasowych i korespondentów obraz ten jest zupełnie zniekształcony i niewielki ma związek z rzeczywistością.

Więcej niż połowa czytelników gazet w W. Brytanii nie wie, która z dwóch głównych parti jest obecnie u władzy w Stanach Zjednoczonych, a większość czytelników prasy amerykańskiej nie wie, kto jest brytyjskim ministrem spraw zagranicznych. Gorzej, że zniekształceniu ulega wzajemnie cały obraz tych krajów, zniekształceniu — jeśli chodzi o Amerykę i Indie — nawet „groteskowemu", jak stwierdza raport.

Nasuwa się refleksja, o ile bardziej jeszcze groteskowy, a co najmniej okaleczony obraz stosunków w krajach za Żelazną Kurtyną wytwarza ta sama prasa Europy Zachodniej, Stanów Zjednoczonych i Indii. Ale tu głównym źródłem tych zniekształceń jest polityka „appeasement" i „containment" oraz w ogóle niechęć do mówienia o rzeczach, które mogłyby wywołać wyrzuty sumienia.

NOWA PŁYTA MAŁCUŻYŃSKIEGO

Ostatnio ukazała się w sprzedaży płyta z koncertem fortepianowym nr 2 i sonatą b-moll Liszta w wykonaniu Małcużyńskiego i orkiestry filharmonicznej pod batutą Waltera Süsskinda, wydana przez wytwórnię „Columbia".

CHÓR WIEKÓW

(Dokończenie z łamu 1)

TOMASZ Z AKWINU:

Uwielbiam Cię pokornie, Bóstwo utajone.

AUTOR „NAŚLADOWANIA CHRYSTUSA":

Choćbyś całą Biblię umiał na pamięć i wszystkich filozofów znał zdania: na co ci się to wszystko przyda bez miłości Boga i łaski Jego? — Marność nad marnościami i wszystko marność, oprócz kochania Boga i służenia Jemu samemu.

TERESA OD DZIECIĄTKA JEZUS:

Mój Boże, wiem, że za miłość płaci się tylko miłością.

O mój Jezu, kocham Ciebie, kocham mą Matkę Kościół; pamiętam, że najmniejsze poruszenie czystej miłości jest dla niego bardziej przydatne, aniżeli wszystkie inne uczynki razem wzięte.

KOŚCIÓŁ:

Oto nadszedł Pan panujący: i królestwo w ręku Jego i potęga i panowanie.

Dzień wielce święty nam zajaśniał: pójdźcie, narody, oddajcie pokłon Panu: albowiem światłość wielka zstąpiła dziś na ziemię. Alleluja.

BÓG OJCIEC:

Ten jest Syn mój miły, w którym sobie dobrze upodobałem: Jego słuchajcie.

Zestawił
Władysław Facchinetti

I. M. BOCHEŃSKI, O. P.

O METODZIE

Niniejszy artykuł zawiera kilka refleksji na temat ogólnych metod myślenia; chodzi w nim przede wszystkim o ich klasyfikację i, ubocznie, o wykazanie, że w zasadzie więcej metod, niż tu wyliczone, nie ma. Rzecz jest bardzo niedoskonałym szkicem; niech wolno mi będzie liczyć na względność łaskawego Czytelnika dla formy, dalekiej od tej, której miałby prawo się domagać od autora. Jeśli mimo świadomości, że tak jest, niniejsze uwagi ogłaszam, to dlatego, że coraz bardziej widzę, jak życie jest krótkie i jak miał rację Pico della Mirandola, gdy Duns Szkota bronił przeciw Barbarowi: we filozofii nie o formę chodzi, ale o treść, a na wypowiedzenie treści rozmyślań może życia nie starczyć, gdy się zbytnio zwraca uwagę na formę.

1. Że stan metodologii ogólnej jest zły. Książek na nasz temat nie brak; ale, niestety, nie wszystko, co w książkach stoi jest prawdziwe, a zwłaszcza użyteczne.. Przeglądając stos metodologicznych dzieł, które sobie po części (w mojej naiwności) kupiłem, widzę nawet, że bardzo wiele spośród nich ma z metodologii tylko tytuł: treść stanowią jakieś mętne, często wprost skandalicznie mętne spekulacje, upstrzone pseudo-naukowymi wyrażeniami. Mają one zapewne wprawić czytelnika w kompleks niższości i uniemożliwić mu stwierdzenie faktu, przecież tak oczywistego, że dana książka nie zawiera o metodzie nic sensownego. Aby nie być całkiem gołosłownym, przytoczę dwa przykłady z dziedziny metodologii historii, którą się ostatnio nieco zajmowałem. Jeden, to dzieło prof. E. Rothackera „Logik und Systematik der Geisteswissenschaften" (Bonn 1948), niestrawny zbiór powiedzeń zaczerpniętych ze świata „czystej filozofii" i to, o nawiasem mówiąc, fatalnie złej, bo 18-wiecznej filozofii. Drugi, to z ogromnym nakładem mrówczej pracy skomponowana książka prof. Fr. Wagnera, „Geschichtswissenschaft" (Freiburg in Br. 1951). Przynosi ona wybrane kwiatki myśli metodologicznej, a takie, że konia z rzędem temu, kto zrozumie z nich, jak należy w historiografii rozumować. Nie brak oczywiście uczciwych podręczników **techniki** laboratoryjnej, rachunkowej, historycznej; ale technika, to jeszcze nie metoda myślenia. Metodologia myślenia powinna stanowić zbiór przepisów, jak należy **myśleć**.

2. Że metodologia do logiki należy. Do kogo należy omawianie takich przepisów? Powiedziałbym, że do logiki, jako, że logika, według świętego Tomasza, to sztuka kierująca umysłem ludzkim tak,aby łatwo, porządnie i bez błędów mógł postępować. Na nieszczęście około słowa „logika" jest równie wielkie zamieszanie, jak około wyrażeń „metoda" i „metodologia". Opowiada się nam na przykład jakieś historie o logikach transcendentalnych, dialektycznych, logikach uczuć, sztuki, życia i tym podobnych, co przecież całkiem oczywiście żadnego sensu mieć nie może. Niech wolno więc będzie wyjaśnić, co można ze sensem o tym rzeczowniku „logika" powiedzieć i jak go używać.

Będzie to zatem nazwa pewnej nauki, której najbardziej poczesną, ośrodkową częścią, jest tak zwana logika formalna. Rozumiem zaś przez ten ostatni zwrot naukę o takich mniej więcej sprzęgach, jakie znajduję, na przykład, w Pierwszych Analitykach Arystotelesa, w „Summulach" Piotra Hiszpana i u prof. Tarskiego. Wyjaśniam rzecz na przykładzie. Tryb „Barbara" zwany, ma u Arystotelesa następującą postać: „jeśli każdemu **B** przysługuje **C**, a każdemu **A** przysługuje **B**, to i każdemu **A** przysługuje **C**". Ten tryb jest typowym prawem logicznym, przykładem zdań, jakie tworzy i bada logika formalna.

Ale logika na logice formalnej się nie kończy i zawiera poza nią jeszcze dwie inne dyscypliny: najpierw coś, co nazwałbym „filozofią logiki", a mianowicie naukę zajmującą się dociekaniem tego, czym jest sama logika formalna i jak właściwie należy interpretować pewne wyrażenia w niej występujące: takie na przykład wyrażenia jak „każde" albo choćby owo „A" w trybie Barbara. Obok filozofii logiki istnieje jeszcze trzecia część logiki; jest nią właśnie metodologia. Ta ostatnia bada nie same sprzęgi w rodzaju **Barbara**, ale ich zastosowanie do konkretnej praktyki naukowego myślenia. Stawia sobie pytanie, jak należy tych sprzęgów używać, aby osiągać pożądane rezultaty.

3. Że istnieją tylko dwa sposoby poznania: intuicyjny i dyskursywny. Przechodzę do samego zagadnienia klasyfikacji, i zaraz wygłaszam pewną prawdę tak oczywistą, że można by ją uważać za truizm, gdyby nie to, że bodaj większość filozofów przeczy jej z uporem godnym lepszej sprawy. Prawda jest następująca: wszystko, co poznajemy, poznajemy albo wprost — to jest **widząc** przedmiot — albo pośrednio, to jest nie widząc samego przedmiotu, ale jakiś inny przedmiot. Każde poznanie jest, innymi słowami, albo bezpośrednie, albo pośrednie. Co to jest poznanie pośrednie? Jest to rozumowanie. Bo w jaki sposób mógłbym z poznania jednego przedmiotu **A** przejść do poznania innego, którego nie widzę, **B**, jeśli nie przez rozumowanie? Ja przynajmniej nie tylko nie znam innego sposobu, ale nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jakby taki inny sposób mógł wyglądać. To będzie więc nasze podstawowe założenie.

Niektórzy nowsi myśliciele odpowiadają na to, że „egzystencję" poznaje się za pomocą... skoku wolności. Ja nie żartuję, słyszałem to zdanie wypowiadane na serio przez ludzi serio, wybitnych filozofów. Być może, że ich wybitność niejednego przyprawiła o zawrót głowy: ale ja mam, jako tomista, głowę twardą na wszelkie autorytety i muszę z przykrością powiedzieć, że to jest po prostu głupstwo. Skakać piękna rzecz i nawet nieraz pożyteczna. Można n.p. skoczyć poprzez płot, aby zobaczyć, co jest z drugiej strony; ale rzecz w tym, że, przeskoczywszy, trzeba przecież na tę rzecz poprzednio zakrytą **popatrzeć**; bo jeśli przeskoczywszy płot zamknę oczy, to i tak niczego nie zobaczę. Morał z tej metafory jest taki: żadne skoki nie zdadzą się na nic, jeśli nie są przygotowaniem do jakiegoś aktu poznawczego; a ten akt musi być poznaniem bezpośrednim, albo pośrednim. Sztuka skakania w egzystencję ma z metodologią tyle wspólnego, co umiejętność kopania piłki, to jest nic.

Mamy więc już podstawowy podział. Dla utrwalenia go sobie w pamięci nazwijmy pierwszy typ poznania — bezpośredni — intuicyjnym, drugi — pośredni — dyskursywnym: wyrażenie „intuicyjny" ma przy tym znaczyć tylko tyle co „nie-dyskursywny", a więc polegający na jakimś poznawczym wchłanianiu przedmiotu bezpośrednio danego. Metodę zaś poznania intuicyjnego nazwę — nadużywając trochę słynnego imienia — „fenomenologiczną". Myślę mianowicie, że Husserl, który temu wyrażeniu nadał nowoczesny sens techniczny, tak je właśnie na początku rozumiał; komplikacje (i mętlik) przyszły dopiero później, razem z idealizmem, zadatkami egzystencjalizmu i innymi jeszcze rzeczami.

4. O metodzie fenomenologicznej. Nie będę tutaj opisywał metody fenomenologicznej, ani zestawiał nawet najważniejszych jej reguł. Powiem tylko jedno: że aby móc taką metodę stosować, to jest aby móc mieć intuicję w tym słowa znaczeniu, trzeba mieć **przed sobą**, „przed oczyma ducha" przedmiot. Wynika z tego natychmiast i niezbicie, że nie ma żadnej tego rodzaju intuicji ani w historii (gdzie przecież przedmiot dawno już przepadł, a dane nam są tylko **słowa** zawarte w dokumentach), ani w socjologii (gdzie możemy widzieć ostatecznie „cały lud" w Appenzell, ale nijak ludu polskiego bo za wielki), ani nigdzie w ogóle, gdzie przedmiot nie jest naprawdę **dany**. Mogę uprawiać fenomenologiczną analizę bólu zęba, albo czerwonej plamy, albo trwogi i tak dalej — bo te przedmioty są mi dane, ale tam, gdzie rzecz nie jest dana, nie ma innego wyjścia, jak **rozumować**. Ten wniosek wydaje mi się niezmiernie ważny, bo ciągłe powoływanie się na owe intuicje grozi po prostu naukowej powadze wielu współczesnych dyscyplin. Bierze taki intuicyjny uczony na przykład stary grecki tekst i nie patrząc na to, co w tekście stoi, nie interesując się składnią, ani kontekstem, wygłasza z „naukową" powagą oczywiście fałszywe tezy, z powołaniem się na swoją intuicję „wczucie", „Einleben". Tak Heidegger w wielu swoich komentarzach; i co takiemu panu zrobisz, kiedy on ma intuicję?

Nie chciałbym być źle zrozumiany. Kiedy Riemann skonstruował swoją nieeuklidesową geometrię, albo Łukasiewicz swoją trójwartościową logikę, musieli przeżyć intuicję, jaka niewątpliwie tylko wybranym ludziom jest dostępną. Tylko, że to jest intuicja logicznej struktury systemu, wypracowanego rozumowaniem. Łukasiewicz **przedmiotu**, którego symbolem jest jego trójwartościowa logika na pewno nie zobaczył, jak to wynika choćby z tego, że nie wiadomo, czy taki przedmiot w ogóle istnieje. Zobaczył natomiast duchowo **system**, związek logiczny między tezami — a ten był mu dany.

5. O rozumowaniu. Przejdźmy jednak do rozumowania. Że jest w nim sporo rzeczy tajemniczych, nikt wątpić nie może. Bo faktem jest, po pierwsze, że my nieraz przez rozumowanie czegoś się dowiadujemy, choć niektórzy filozofowie, nie wiem dlaczego, temu przeczą. Kto wątpi, niech się zastanowi, czy inżynier wie z góry, zanim przeliczy, jak gruba ma być belka w kranie czy moście (liczenie jest pewnym rodzajem rozumowania). Faktem jest także, po drugie, że nie łatwo pojąć, jak można z tego co się widzi, dowiedzieć się czegoś, czego się nie widzi. Ale nie o to nam tu chodzi — uprawiamy metodologię, nie filozofię logiki.

Otóż, co to jest rozumowanie ze stanowiska metodologii? Odpowiem, że jest to pewien zabieg myślowy, tak mniej więcej wyglądający. Dane jest jakieś zdanie **A**. Dana jest także pewna dyrektywa, według której, ilekroć dane jest **A**, wolno także stwierdzić inne zdanie **B**. Stosujemy tę dyrektywę do naszego **A** i „wyciągamy wniosek" **B**. Tak wygląda **każde** rozumowanie, **bez wyjątku**. Podkreślam te słowa, bo moje twierdzenie wyda się zapewne niektórym dość rewolucyjne, choć naprawdę chodzi o samą oczywistość. Wypada nawet powiedzieć więcej: w gruncie rzeczy, owo **A**, to jest zdanie stanowiące przesłankę rozumowania, składa się zawsze z dwóch zdań, połączonych słówkiem „i"; jedno z tych zdań jest zdaniem warunkowym (a więc postaci „jeśli p, to q") drugie zaś równokształtne bądź z „p" bądź z „q". Co prawda zdarzają się i innego typu przesłanki, ale, o ile wiem, dadzą się one zawsze za pomocą metod logiki matematycznej przekształcić w zdania warunkowe.

6. Że wszelkie rozumowanie jest bądź dedukcyjne, bądź redukcyjne. W tym miejscu przechodzę do referatu czegoś, co uważam za jeden z największych wynalazków metodologii nowoczesnej, a mianowicie pomysłu profesora Jana Łukasiewicza, dotyczącego podziału wszystkich rozumowań na dwa i tylko dwa rodzaje. Pomysł ten, w Polsce spopularyzowany przez prof. T. Kotarbińskiego, był powszechnie znany; za granicą jednak (wiele krajów zagranicznych bardzo biednie się przedstawia, jeśli o logikę chodzi — taka n.p. Francja) jest niemal nieznany. Oto ów pomysł:

Powiada prof. Łukasiewicz, że razem ze zdaniem warunkowym może nam być dany albo poprzednik, albo następnik, to jest, w naszym przykładzie, albo „p", albo „q". W pierwszym wypadku otrzymujemy schemat taki:

jeśli p, to q
otóż p

---

a więc q.

i rozumowanie według takiego schematu nazywa prof. Łukasiewicz „dedukcją". W drugim wypadku mamy:

jeśli p, to q
otóż q

---

a więc p.

Takie rozumowanie nazywa polski logik „redukcją".

7. O podziale dedukcji i o formalizmie. Profesor Łukasiewicz dzieli dedukcyjne rozumowania (podobnie zresztą jak i redukcyjne) na progresywne i regresywne, zależnie od tego, czy ruch myśli idzie w nich od (znanego) poprzednika czy od (nieznanego) następnika; pierwsze nazywa „wnioskowaniem", drugie „dowodzeniem". Trafny to, ale bodaj mniej ważny podział; natomiast doniosłe wydaje mi się rozróżnienie narzucone nam przez najnowszy rozwój logiki matematycznej, na dedukcję ejdetyczną i formalistyczną. Ejdetyczna dedukcja, to takie rozumowanie, w którym rozumiemy znaczenie użytych wyrażeń i „widzimy" („oczyma ducha") związki między tym, co one znaczą: tak na przykład, kiedy z tego, że żaden człowiek nie jest słoniem, wyciągamy wniosek, że żaden słoń nie jest człowiekiem, widzimy „ejdetycznie" związek logiczny między byciem-człowiekiem, a byciem-słoniem. To jest owo rozumowanie ejdetyczne, tak drogie ś.p. Kartezjuszowi, który formalizmu nienawidził. Nie zauważył jednak nieborak, że cały postęp matematyki (a dziś wiemy także, że i logiki formalnej) zależy właśnie od tego, że w niej nie używamy takiego rozumowania, ale t.zw. formalizmu.

Co to jest formalistyczne postępowanie, najlepiej wytłumaczyć na przykładzie; czerpię go z Łukasiewicza. Niech będą w systemie litery kształtu **„C"**, **„N"**, **„p"** i **„q"**. Niech będzie w nim poza tym napis postaci **„Cpq"** i inny napis postaci **„p"**; przy czym, dla uproszczenia, wszelkie wyrażenia zaczynające się od litery „C" chcemy nazwać „okresami", to, co w okresie zaraz po **„C"** idzie „pierwszym członem", a to, co na drugim miejscu stoi „drugim". Niech wreszcie będzie dyrektywa powiadająca, że ilekroć mamy w systemie okres i jego pierwszy człon to możemy wprowadzić do systemu drugi jego człon. Na tej podstawie wprowadzamy do systemu **„q"**: w rzeczy samej, mamy w systemie **„Cpq"** i **„p"**, czyli okres i jego pierwszy człon. (Cały ten wywód spisany jest strasznie nieściśle, ale za to jestem ja sam odpowiedzialny, nie prof. Łukasiewicz; nie mogę niestety inaczej, bo ścisłość logiczna nie jest dla szerokich warstw, jak mawiał Plato, zrozumiała). Taka jest owa formalistyczna metoda: polega ona, jak widać z przykładu na operowaniu na znakach, bez żadnego uwzględnienia ich znaczenia, tak, jak gdyby to były figury jakiejś gry.

Formalizm był i jest ciągle jeszcze przedmiotem równie gorących, jak niemądrych ataków. Aby przejrzeć, że one są niemądre, wystarczy, tak mi się przynajmniej zdaje, zwrócić uwagę na prostą okoliczność, że każde rachowanie na papierze jest właśnie zastosowaniem formalizmu, i że w bardziej złożonych sprawach niepodobna się bez niego obejść. Z czego naturalnie nie wynika, jakby chcieli niektórzy, że każde rozumowanie dedukcyjne jest formalistyczne; naprawdę bywa czasem ejdetyczne, a czasem formalistyczne, zależnie od przedmiotu. Toteż ten podział dedukcji na ejdetyczną i formalistyczną jest ważny.

8. O redukcji i najpierw o wyjaśnianiu i sprawdzaniu. Tyle o dedukcji; przechodzę teraz do paru uwag o redukcji, która, przypominam, jest sposobem rozumowania z następnika na poprzednik. Wypada tutaj najpierw, idąc ciągle za profesorem Łukasiewiczem, przeprowadzić podział rozumowań tej klasy na wyjaśniające i sprawdzające, czyli podział samej redukcji na regresywną i progresywną, tak jak to uczyniliśmy, choć pobieżnie, mówiąc o dedukcji; tutaj sprawa wydaje mi się jednak znacznie ważniejsza, tak że parę uwag na temat owego podziału przyda się niewątpliwie.

Oto sytuacja: dane jest zawsze jakieś zdanie warunkowe i jego następnik; ale nie wynika z tego, by rozumowanie miało zawsze poruszać się, że tak powiem, od następnika do poprzednika. Jeśli tak jest, mamy do czynienia z redukcją **regresywną**, cofającą się, którą nazywamy właśnie „wyjaśnianiem". Oto przykład: policja szuka złodzieja, który skradł zegarek; udaje się złapać Iwana, a przy nim ten właśnie zegarek znajduje się w kieszeni. Policja, rozumując bystro, przychodzi do wniosku, że to Iwan właśnie zegarek sobie przywłaszczył. Jest to rozumowanie redukcyjne, a jego schemat logiczny jest następujący: jeśli Iwan skradł ten zegarek to go ma; otóż ma go; a więc skradł. Dany jest tu mianowicie nie poprzednik, ale następnik okresu warunkowego. Ale jest to także rozumowanie regresywne: bo myśl bystrego policjanta porusza się tu od następnika („ma zegarek") do poprzednika („skradł zegarek"). Przykład to, oczywiście, trywialny; ale nasi uczeni nie inaczej rozumują, gdy słynne owe prawa i teorie naukowe stanowią. Taki na przykład Kopernik. Wiemy, powiada, że takie a takie zdania stwierdzono o ruchu (pozornym) ciał niebieskich; załóżmy, że ziemia się koło słońca obraca, a z tego założenia dadzą się wywieść te właśnie zdania. To jest: jeśli teoria ś.p. ks. Kopernika jest prawdziwa, to owe prawa też są prawdziwe; otóż są prawdziwe; a więc i teoria. Taka jest owa redukcja wyjaśniająca; polega ona, jak widać z obu przykładów, na tworzeniu tak zwanych „hipotez".

Na tym jednak redukcyjne postępowanie naukowców — a także policjantów — się nie kończy. Rozumiejąc, że nie wiele ono przed obliczem Logiki warte, szukają, jak się to mówi, potwierdzenia hipotezy. Policjant rozumuje więc tak: jeśli Iwan naprawdę skradł ten zegarek, to musiał być gdzieś blisko właściciela w chwili, gdy owe **czasy** przepadły; dochodzenie: pokazuje się, że rzeczywiście był przy właścicielu w chwili wypadku. I podobnie astronom, Galileusz, powiedzmy: jeśli teoria Kopernika jest prawdziwa, to powinno się widzieć to i to, taki a taki ruch na niebie i tym podobne. Chwyta tedy nasz astronom za lunetę i patrzy w niebo: jest, zgadza się; powiada więc, że jego kopernikańska teoria została zweryfikowana, sprawdzona.

Taka jest redukcja, jedno z najpotężniejszych narzędzi ludzkiego poznania: do stwierdzonych jako prawdziwe następników dobieramy poprzednik - hipotezę, z której one wynikają logicznie — (wyjaśnianie); następnie z owego poprzednika - hipotezy wyciągamy jakieś logiczne wnioski i sprawdzamy je, patrzymy czy są prawdziwe (sprawdzanie).

9. Że redukcja jest niesprawna. Czytelnik wysuwa w tej chwili, jestem tego pewny, dwie wątpliwości czy dwa zarzuty przeciw mojej — a właściwie profesora Łukasiewicza — teorii metodologicznej.

Zarzut pierwszy: co to za rozumowanie? Mógłbym przecież równie dobrze rozumować tak: jeśli jestem psem, to jestem organizmem; otóż jestem organizmem, a więc jestem psem. Albo tak: jeśli mam 100.000 dolarów, to mam dwa dolary; otóż mam dwa dolary, a więc i 100.000. Któż kiedy tak rozumuje? Jakaż to więc metoda ta redukcja?

Zarzut drugi: a gdzie indukcja? Nauki przyrodnicze są przecież naukami indukcyjnymi, podczas gdy wyłożona tu teoria o indukcji nawet nie wspomina! Na te dwa ważkie zarzuty wypada mi teraz odpowiedzieć, jak potrafię.

Powiem więc najpierw, że pierwszy zarzut jest najzupełniej trafny: dyrektywa redukcyjnego rozumowania nie jest, jak to w polskiej szkole logicznej mówiono, dyrektywą niezawodną. Jest logicznie niesprawna. Aby się o tym przekonać, nie potrzeba sięgać aż do tak oczywistych wypadków, jak wspomniane w zarzucie; wystarczy zastanowić się nad przykładami policjanta i Kopernika, o których wyżej. Czyż udowodniono Iwanowi, że to on skradł zegarek? Bynajmniej. Jeśli skradł, to miał ten zegarek, ale nie: jeśli miał, to skradł: mógł przecież go kupić, albo otrzymać na przechowanie od kolegi złodziejaszka, albo ten ostatni mógł, będąc w opałach, wsunąć mu niepostrzeżenie zdobycz do kieszeni. Nie? A co do ś. p. Kopernika, zauważyć wypada, że inny wielki astronom przed nim owe ruchy ciał niebieskich także świetnie wyjaśnił całkiem inną hipotezą, a mianowicie Ptolomeusz. W logice jest bowiem tak, że jeśli **X** wynika z **A**, to może wynikać także z nieskończenie wielu innych hipotez, na przykład **B, C** i tak dalej. Rozumowanie redukcyjne jest w rzeczy samej niesprawne.

Toteż wiedzieć trzeba, że nasi uczeni robią co mogą, aby je „umocnić"; posługują się przy tym nie tylko sprawdzaniem, ale także różnymi metodami eliminacyjnymi, których klasycznymi przedstawicielami są słynne owe kanony Milla. W najnowszych czasach cała procedura skomplikowała się jeszcze znacznie dzięki użyciu statystyki. Nie mogę tutaj wchodzić w szczegóły tych myślowych zabiegów, ale proszę, aby mi wierzono, że przestudiowałem je dość gruntownie i w rezultacie widzę dziś jak na dłoni, że to wszystko razem wzięte niczego nie dowodzi. Odnosimy wrażenie, że naukowe hipotezy stają się, dzięki tym zabiegom, jakoś bardziej prawdopodobne; ale — i tu jest paradoks — logicy dotąd nie wiedzą, co to znaczyć może, a tym mniej, jak nasi naukowcy dochodzą do zwiększenia prawdopodobieństwa swoich twierdzeń.

Kończę więc te uwagi smutnym stwierdzeniem, że badanie przyrody podobne jest do odczytywania szyfrowanego pisma, do którego nie mamy klucza. Dziw, że nam się to czasem udaje.

10. O indukcji. A teraz drugi zarzut: gdzie indukcja? Odpowiedź: indukcja jest po prostu szczególnym wypadkiem redukcji. Weźmy taki oto przykład. Niech będą trzy kawałki fosforu: **a, b, c**; stwierdzamy doświadczalnie, że każdy z nich zapala się przy 45 stopniach C. Tworzymy na tej podstawie, indukcyjnie, uogólnienie: „**wszystkie** kawałki fosforu zapalają się przy 45 stopniach C." Jaki jest schemat tego rozumowania? Oczywiście taki:

Jeśli wszystkie kawałki..., to i **a,b,c.**
Otóż a, b, c...

A więc wszystkie...

Mamy więc typowy przykład redukcji, rozumowania z następnika na poprzednik, bo to **następnik**, owo zdanie o **a, b, c**, jest dany, nie poprzednik.

Zapyta kto może: czyż wobec tego indukcja jest niesprawna? Oczywiście jest niesprawna. Arystoteles udowodnił to już raz na zawsze i odtąd wielu ludzi całkiem niesłusznie biedzi się nad „umocnieniem" tej niesprawnej dyrektywy rozumowania. Nikomu, niestety, jak dotąd się nie udało. Indukcja jest niesprawną, nie niezawodną metodą rozumowania.

11. Niektóre wnioski. Wyłożona tutaj szkicowo teoria może się wydawać oderwana i bez praktycznego znaczenia. W rzeczy samej, nie jestem pewny, czy metodologia myślenia ma jakiekolwiek pozytywne zastosowanie w praktyce; ale negatywnie, jako obrona przeciw głupstwu, może ona okazać się bardzo pożyteczna: po prostu pozwala odróżnić rzetelną naukową pracę od blagi i mętliku. Oto, tytułem przykładu, parę wniosków z tej teorii, niepozbawionych konkretnej użyteczności:

(1) Między metodą nauk historycznych a metodą przyrodoznawstwa nie ma wcale tej przepaści, o której tyle się opowiada: bo, stosując nasze rozróżnienia do historiografii, stwierdzimy z łatwością, że używa się w niej po prostu rozumowania redukcyjnego, choć nie indukcyjnego. Wskutek tego (i z różnych jeszcze innych względów) zachodzą pewne różnice między sposobem myślenia w obu dziedzinach; ale nie są to bynajmniej tak zasadnicze różnice, jak nieraz słyszymy.

(2) Nie ma i nie było żadnej metody transcendentalnej. Tak zwani transcendentaliści polują na transcendentalne warunki ludzkiego poznania i to jest już ich rzecz; ale tych warunków poszukują zwykłą, (choć zwykle kiepsko stosowaną) dedukcją. Nie ma tu, z metodologicznego punktu widzenia, nic szczególnego i rozprawianie o swoistej jakiejś metodzie transcendentalnej jest powodem, dlaczego nigdy nic sensownego na ten temat nie napisano.

(3) Nie ma i nigdy nie było żadnej metody dialektycznej. Owszem, istnieje parę dobrych rad, które w masie „dialektycznych" nonsensów znaleźć można: na przykład radzi się nam, abyśmy zważali na kontekst (logicy matematyczni mówią to samo, tylko lepiej); powiada się, że wypada genetycznie rzecz badać, co też nie jest niczym aż tak nowym. Cała reszta, to jakaś fatalnie skonstruowana i skrajnie naiwna metafizyka, popsuta jeszcze przez fałszywe tezy logiczne. A jeśli o samego Marxa chodzi to postawił on wcale, jeśli się nie mylę, na swoje czasy dobrą hipotezę wyjaśniającą zjawiska społeczne: została ona później sfalsyfikowana przez zdania o faktach, ale to nie przeszkadza, że była hipotezą. Z tego jednak wynika, że Marx użył metody redukcyjnej, a nawet indukcyjnej, tak jak wszyscy inni, tylko z większymi ambicjami.

(4) Nie ma i nigdy chyba nie będzie żadnej egzystencjalistycznej metody myślenia Owszem, można **przed** myśleniem wprawić się w stan melancholii, rozpaczy, czy trwogi — tak jak można wziąć kąpiel, albo wypić kieliszek wódki; jeśli to komu dobrze robi, trudno mieć zastrzeżenia. Tylko, że metodą **myślenia** to nie jest. I zresztą widać z pism egzystencjalistów, że w chwilach, gdy nie śpiewają jak ptaszki i nie wydają jakichś smętnych dźwięków bez sensu, używają oni metody fenomenologicznej; co ważniejsi sami do tego się przyznają — jak Heidegger i Sartre.

I. M. Bocheński O.P.

BRONISŁAW PRZYŁUSKI

BETLEJEM

Zapatrzyłem się, zagubiłem się, upadłem —
Pustka głupia.
A tu ciągle pora się odnawia
Nad brzękadłem ogłuchłym,
Nad imadłem słabiuchnym,
Blask się krwawo odkupia,
Noc się zbawia.

Była Noc, z której gwiazdy ruszyły
Prosto w Dzień Bożego Narodzenia.
Ziemia pieśnią odkrzykła
Uroczysta, niezwykła,
z wszystkich wód i z kamiennej wszystkiej siły.

Przyszli chłopi i oczami własnymi
zobaczyli całe niebo na ziemi.
Jasne niebo przykryło ziemski brud.
Leży niebo i płacze;
Ziemia z radości skacze,
drzewa po lasach klęczą,
trawy jak harfy brzęczą,
kwiaty hymny podnoszą,
oziminy się kłoszą,
ledwo wyszły ze zmarźniętych grud.

Tylko ślepi nie pojmują jaśnienia,
tylko głusi nie poznają wołania,
ani śpiewów anielskich
ani słów rodzicielskich,
Matki czystej,
Panny istnej,
ani westchnień klęczącego poznania
ni oddechu zrodzonego zbawienia.

Serce, serce wystygło na głaz.
Oczy patrzą i nie widzą i nie widzą.
Puste ręce złożone na płask
w dnie strumienia płynących łask,
Wznieść się wstydzą, załamać się wstydzą,
Nierozumne, nieczułe na blask.

Pomóż mi trawo wierząca,
Podnieść mnie wodo ufna,
Roztop mnie w upalnych gorącach,
lawo z wnętrza idąca, z ducha.

Bo cóż z tego, że się pora odnawia,
Kiedy w niej nie mam ani cząstki.
Bo cóż z tego, że się odbywa, odprawia
nade mną — przesmykiem wąskim.

Zamiast przejąć, tylko mnie opływa —
zamiast przeniknąć, owieje —
Wykąp się brudne serce w tych dziwach
I otwórz się na słowo słodkie, na Betlejem.

Bronisław Przyłuski

KS. MARCIN WOJCIECHOWSKI

MIŁOŚCIWE LATO MARYJNE

Encykliką „Fulgens Corona Gloriae" Papież Pius XII otwiera Rok Maryjny, Rok Miłościwy, który nie miał podobnych sobie w dziejach Kościoła. Rozpoczął się on świętem Niepokalanego Poczęcia w tym roku, a kończy się w grudniu, w roku przyszłym. Jest to rok setny od ogłoszenia dogmatu o Niepokalanym Poczęciu N. M. P. Rok pełen nadziei i oczekiwań, do których tęskni udręczona ludzkość.

Ojciec św. w Encyklice nawiązuje do momentu, kiedy papież Pius IX, jego poprzednik, 8 grudnia 1854 r., powagą nieomylnego urzędu nauczycielskiego Kościoła, określił, orzekł i ogłosił, że N.M.P. na mocy wyjątkowego przywileju danego Jej od Boga, jest wolna od grzechu pierworodnego, od samego początku, t.j. od swego poczęcia. Ogłoszona nauka stała się dogmatem, prawdą wiary naszej, podaną nam przez Kościół do wierzenia. Orzeczenie Kościoła św. spotkało się wtedy z entuzjazmem w świecie katolickim, który tak gorąco w to wierzył, z taką tęsknotą wyczekiwał na moment jego ogłoszenia. Dokonało się ono też w momencie, kiedy racjonalizm w swym rozwoju doszedł do punktu szczytowego, a jego stosunek do Kościoła był w pełni negatywny.

Zaszło wtedy coś niezwykłego w świecie zjawisk nadprzyrodzonych. Zdawało się, że sama Matka Boża interweniowała w sposób cudowny, aby stwierdzić ten cudowny czar dogmatu o Niepokalanym Poczęciu. Nie przeszło jeszcze cztery lata od momentu dogmatyzacji, kiedy N.M.P. objawiła się w cudowny sposób niewinnej dziewczęce Bernadecie, dziś już wyniesionej na ołtarze, w grocie Massabielskiej. Kiedy Bernadeta usilnie prosiła, aby Pani wyjawiła swe imię, ona wzniósłszy swe oczy do nieba, powiedziała: „Jam Niepokalane Poczęcie."

Objawienie się w Lourdes przeszło krytykę, na jaką tylko stać było ludzi. Niewiara, szyderstwo, małoduszność i ostrożność sprzymierzyły się, aby odsunąć, zlekceważyć, przekreślić ambarasujące zjawisko Massabielskie. Właśnie na tle tej krytyki i negatywnego stosunku do cudownego objawienia w Lourdes, uwypukliło ono się w pełni. Zaczęły tam nawet napływać ogromne rzesze wiernych. Grota w Lourdes stała się miejscem wielkiej wiary i wielkich cudów. W Roku Maryjnym znowu oczy świata katolickiego zwrócone będą do groty Massabielskiej.



PIELGRZYMI POLSCY POD BAZYLIKĄ W LOURDES

Zdajemy sobie sprawę z tego, że Kościół wszedł dzisiaj w rytm wielkich wydarzeń, wstrząsów, prześladowań takich, jakich nie znały dzieje. Otwarły się, zdaje się, czeluście piekielne, które chcą pochłonąć dzieło Chrystusowe, jego Kościół. I tu, na tym tle, objawienie się Maryi, dogmaty maryjne i Rok Maryjny nabierają właściwego sensu Ojciec św., otwierając Rok Maryjny, pokłada w nim wielkie nadzieje, kreśli cele, jakie powinny przyświecać wiernym w owym Roku. Jest to rok rozładowań zła, rok tęczy, która ma zaświtać nad udręczoną przez zło ludzkością.

Z Encykliki „Fulgens Corona" wyłaniają się dwa aspekty: pierwszy doktrynalny, a drugi moralny. Pierwszy jest podstawą zagadnienia, drugi — przetworzeniem pierwszego w życiu praktycznym. Pierwszy stanowi założenia, które są w Objawieniu, stanowią część jego organiczną, drugi stwarza moralność katolicką.

Papież Pius IX, określając naukę maryjną o Niepokalanym Poczęciu, wypowiedział, że nie jest ona niczym innym, jak głosem Kościoła, który wypływa z nauki Ojców Kościoła i z wiary tegoż Kościoła od czasów najdawniejszych.

Podstawą tej nauki jest dramat, dramat największy w dziejach człowieka, to jest upadek pierwszych naszych rodziców, który pociągnął za sobą, mocą dziedziczności, upadek całej ludzkości. Czytamy w Piśmie św. już na pierwszych jego kartach, że Bóg ukazał człowiekowi, kiedy ten opuszczał utracony raj, niewiastę, która depce łeb zwodziciela: „Położę nieprzyjaźń między tobą a niewiastą, między nasieniem twoim a nasieniem jej" (Rodz. 3. 15). Tę niewiastę wszyscy Ojcowie Kościoła utożsamiają z Matką Bożą, która była przez Boga przewidziana na to, że miała zetrzeć głowę Szatana. Tłumacząc to, oni stwierdzają, że Matka Boża została wyjęta od grzechu naturalnego, jakim jest grzech pierworodny. Te słowa, mówią, straciłyby swój sens, gdyby N.M.P. była w stanie grzechu choćby nawet na krótki moment. Nie można by wtedy mówić o nieprzyjaźni, o deptaniu głowy szatana a raczej o uległości.

Drugim miejscem Pisma św., wskazanym przez Ojców Kościoła, to słowa, które towarzyszyły Zwiastowaniu. Archanioł Gabriel, jako posłaniec Boga, zwraca się do N.M.P. ze słowami pozdrowienia: „Łaski jesteś pełna" oraz „Błogosławionaś między niewiastami.." Pozdrowienie, według zgodnego zdania św. Tradycji, oznacza, że N.M.P. była w pełni łask, którymi Jej dusza była ozdobiona. Ta pełnia, nigdy niewyczerpana, nie może współistnieć z grzechem. Niektórzy przeciwnicy, chcąc osłabić dogmat, głosili, że oczyszczenie w pełni nastąpiło w Zwiastowaniu Jej przez Anioła. Takie twierdzenie jest sprzeczne z Tradycją i z tenorem samego pozdrowienia. Arch. Gabriel nie oczyszcza, ale stwierdza, że N.M.P. jest łaski pełna.

Nauka o tym, że N.M.P. jest wolna od grzechu pierworodnego, jest nauką wszystkich, bez wyjątku, Ojców Kościoła. Ujmują oni tę naukę w różne epitety, symbole i porównania, którymi wyrażają Jej niepokalaną czystość. Nazywają ją: lilią między cierniami, ziemią nietkniętą, niepokalaną, zawsze błogosławioną, wolną od zmazy grzechowej, drzewem nieusychającym, źródłem przeźroczystym, jedyną córą życia a nie śmierci, latoroślą łaski a nie grzechu, świętą i od wszelkiej zmazy grzechowej wolną; jest ona piękną łaskawością, świętością świętą, jedyną świętą, która poza Bogiem, przewyższa wszystkie stworzenia, jest ponad Cherubiny i Serafiny, piękniejsza i świętsza nad wojsko Aniołów.

Gdybyśmy nawet nie mieli innych dowodów, o których już wyżej powiedzieliśmy, a jedynie to, że N.M.P. jest Matką Bożą, wybraną przed wiekami i umiłowaną przez Boga miłością, jaka przystoi Matce Syna Jednorodzonego, wystarczyło by w zupełności, aby wykazać Jej niepokalaną świętość. Macierzyństwo Boskie jest przywilejem podstawowym dla Niej, jest to radix w stosunku do innych. O Jej Macierzyństwie Sobór Efeski w 431 r. stwierdził, orzekł i oświadczył, że stanowi ono najwyższą łaskę i przywilej, ponad którą żadna inna łaska nie może być większa i pełniejsza. Wszystkie łaski i przywileje Maryi z tej jedynej wypływają, jako ze swego najczystszego źródła i duszę Jej w sposób najdoskonalszy ozdabiają. Św. Tomasz z Akwinu stwierdzając to, mówi: że N.M.P. stąd, że jest Matką Bożą, ma nieskończoną godność, która z Boga, jako dobra nieskończonego, wypływa.

Dogmat Niepokalanego Poczęcia za naszych czasów zajaśniał nowym światłem, dogmatem Wniebowzięcia, który był ogłoszony w r. 1950. Te dwa dogmaty nawzajem się łączą. Oba te przywileje, niczym dwie perły świecą w koronie jaśniejącej chwały Matki Bożej. Pierwszy staje na początku Jej ziemskiego bytowania; drugi, który jest uzupełnieniem pierwszego, ozdabia koniec Jej ziemskiej wędrówki. Niepokalane Poczęcie jest odpowiednikiem uwielbienia Jej dziewiczego ciała. Ona, która wraz z Synem Jedynym powstała przeciwko złu, jest tą, w której zmaza pierworodna nie powstała.

Stając na stanowisku dogmatów maryjnych, których w obecnej chwili mamy w skarbcu świadomości kościelnej aż trzy, możemy stwierdzić, że mariologia opiera się na elementach doktrynalnych. A te pozwalają nam, aby na niej, jako na strukturze naukowej i nadprzyrodzonej budować zasady życia moralnego i rozwijać pobożność w nabożeństwie do N.M.P.

Arcyb. Teodorowicz, nasz wielki uczony, pisząc ongiś o Maryi, powiedział, że w imieniu Maryi zawiera się całe Credo chrześcijańskie. Kto wierzy w Maryję, pisze on, ten wierzy w Jezusa Chrystusa, we Wcielenie i Odkupienie, wierzy w Trójcę świętą, wierzy w Kościół, wierzy w grzechów odpuszczenie i w miłosierdzie Boże, wierzy w życie wieczne.

Podobnie rzecz się ma z moralnością chrześcijańską. Matka Boża jest wzorem życia, które centralizuje się w Jej świętości, w Jej wierności dla Chrystusa. Cechą zasadniczą Jej życia wewnętrznego jest Jej wierność w naśladowaniu Jezusa Chrystusa, który był dla Niej wzorem wszelkich cnót i doskonałości. Ona szła za Chrystusem i nigdy od Niego się nie oddalała: w radościach i smutkach, w tryumfach i upokorzeniach. Ona stała się królową męczenników, bo najwięcej cierpiała. Serce Jej pod Krzyżem zostało przeszyte siedmiu mieczami boleści.

Jej słowa, które wypowiedziała w Kanie Galilejskiej, charakteryzują w pełni Jej duszę i zdają się być, mówi papież, skierowane do nas: „Cokolwiek wam powie, czyńcie" (Jan, 11, 5). Te słowa, zdaje się, zabłysły jako dewiza ratunku nad dzisiejszym kryzysem, który wstrząsnął do głębi ludzkością. Źródłem kryzysu jest apostazja od Chrystusa. Ludzie odeszli od tego, mówi papież, który jest źródłem żywej wody; zburzyli cysternę z wodą żywą, a wykopali sobie cysterny, które nie zatrzymują wody. Ludzie opuścili tego, który o sobie powiedział: „Jam jest droga, prawda i życie."



MATKA BOSKA CZĘSTOCHOWSKA



MADONNA SEWILSKA



MATKA BOSKA PŁACZĄCA W SYRAKUZACH

Jeżeli więc pobłądzili, trzeba zawrócić z tej drogi. Jeżeli ciemności błędów ogarnęły umysły, trzeba jak najprędzej rozproszyć je światłem wiary. Jeżeli śmierć ogarnęła duszę, trzeba z gorącym pragnieniem zbliżyć się do życia niebieskiego, które z Chrystusa wychodzi. Tego nawrotu do Chrystusa uczy nas Matka Boża, która jest i naszą Matką, stała się naszą duchową rodzicielką pod Krzyżem. Nawrót do Chrystusa, wejście na drogę przykazań Boskich jest potrzebą i wołaniem chwili obecnej, kiedy otwarcie i przez zasadzki wyrywa się z dusz wiarę chrześcijańską, zatruwa się je i zasiewa błędy, którymi się ludzie jeszcze chełpią, że to jest postęp i zdobycz wieku współczesnego.

Przekreślić religię, to zaprzeczyć Boga, który udziela swej sankcji: za dobre nagradza, za złe karze, t. zn. przekreślić prawa rządzące ludzkością, wyzwolić zło i otworzyć podwoje dla prawa dżungli. W niepohamowanym wyścigu za dobrami materialnymi rodzi się nienawiść, zazdrość, niezgoda, powstają zamieszki, które niszczą podstawy społeczeństwa. W Roku Maryjnym Papież wskazuje na Maryję, przez którą trzeba zawrócić do odnowienia życia, do ustanowienia prawdziwych zasad społecznych.

Rok Maryjny ma stać się rokiem modlitw: publicznych i prywatnych, zbiorowych i pojedyńczych; aby łaska Boża towarzyszyła naszym postępom i wzrostom duchowym na drodze zachowania przykazań Boskich. Te cele i wytyczne powinny w Roku Maryjnym przyświecać:

1) Modlić się przede wszystkim za młodzież, aby nie uległa duchowi czasu, aby wzrosła zdrowa w czystości i całości obyczajów chrześcijańskich, aby odwróciła się od rzeczy złych i zasadzek wszelakich, a zwróciła się do tego, co jest piękne i co jest kochania godne.

2) Modlić się za tych, którzy są w wieku dojrzałym, aby wyróżnili się swoją szlachetnością i stałością zasad chrześcijańskich; aby ogniko domowe świeciło wiernością, zgodą i wzajemną pomocą; aby dzieci były wychowywane w świętości zasad.

3) Modlić się za starszych, aby cieszyli się z owoców swego życia, aby, kiedy zbliży się okres życia, nie byli trapieni wyrzutami sumienia, aby nie było nic takiego, czego by mieli się wstydzić. Niech mocno wierzą, że otrzymają zapłatę za trudy swoje.

4) Niech wszycy modlą się do Matki Bożej o chleb dla głodnych, o sprawiedliwość dla uciemiężonych, o ojczyznę dla wygnańców i uchodźców, dla zamkniętych we więzieniach i obozach pracy o wolność; dla ślepych ciałem lub duchem o radość jaśniejącego światła. Modlić się trzeba za tych, którzy rozdzieleni nienawiścią, zazdrością, niezgodą, o jedność duchową, miłość bratnią, o pokój, oparty na prawdzie, na sprawiedliwości i na dobrych wzajemnych stosunkach.

5) Szczególnym pragnieniem Ojca św. jest, aby modlić się do Matki Boskiego Odkupiciela za Kościół katolicki, aby wszędzie zażywał wolności, która się mu należy. Kościół katolicki używał tej wolności, jak uczy tego historia, dla dobra ludzkości, a nigdy na szkodę, dla zgody między narodami, a nie dla niesnasek.

Wszyscy wiedzą, w jakich utrapieniach żyje Kościół w pewnych krajach i to, że jest on tam ofiarą kłamstw i oszczerstw. Wszyscy wiedzą o tym, że w pewnych krajach pasterze są albo w rozproszeniu, albo uwięzieni bez wyroków, albo nie pozwala się im spełniać funkcji, wypływających z ich powołania. Wiedzą wszyscy, że w pewnych krajach katolicy nie mają katolickich szkół, nie mogą nauczać dzieci poznać wiary katolickiej. Ojciec św. ma niezłomną nadzieję, że wszyscy będą zanosić gorące prośby w Roku Maryjnym do Matki Bożej, aby święte prawa Kościoła zostały uznane.

Chcemy, aby nasz głos, mówi Papież, ożywiony miłością, doszedł wreszcie do tych, którzy są zmuszeni do milczenia, a widzą społeczność chrześcijańską żyjącą w utrapieniach i pozbawioną wszelkiej ludzkiej pomocy.

Apeluje Papież do braci prześladowanych, aby wytrwali we wierze i w jedności ze Stolicą Apostolską i z innymi braćmi. A N.M.P., Matka Boża udzieli im swej potężnej opieki. Jak św.. Bernard mówi: „Staniemy mocno, będziemy walczyć aż do śmierci, jeżeli trzeba będzie dla Kościoła, naszej Matki, z bronią, którą są nie tarcze i miecze, lecz modlitwy łzy ofiarowane Bogu".

6) Zwraca się w końcu Papież do tych, którzy są oderwani od Kościoła przez schizmę; obejmuje ich miłością ojcowską i prosi, aby, pomnąc na ich głęboki kult dla Niepokalanego Poczęcia, modlili się o zjednoczenie w jednej owczarni, pod jednym pasterzem.

7) Z modlitwą połączyć trzeba akty pokutne. Te dwie cnoty łączą się i nawzajem wspomagają. Modlitwa podnosi ducha, umartwienie ujarzmia ciało. Człowiek odrywa się od rzeczy stworzonych i kieruje wzrok swój do nieba.

Módlmy się wreszcie o pokój. Matka Boża przyniosła światu Księcia pokoju. Ona połączy ludzi w przyjaźni pod Jej opieką i obroną.

Do intencji ogólnych dodajmy modlitwy za Kraj nasz, deptany przez zaborcę. Módlmy się do Matki Zbawiciela, która w Lourdes czy w Rzymie jest ta sama, co i na Jasnej Górze, czy w Ostrej Bramie, aby dała Krajowi naszemu siły do wytrwania i to głębokie przeświadczenie, że ich cierpienia nie pójdą na marne.

To są założenia i cele Roku Maryjnego, na które Papież kładzie szczególny nacisk, abyśmy połączeni razem za pośrednictwem Matki Bożej modlili się o wzrost Kościoła św. i w ten sposób przysłużyli się sprawie chrześcijaństwa.

Ks. M. Wojciechowski



Fot. Mytkowski

CHORZY W LOURDES CZEKAJĄ NA ŁASKĘ UZDROWIENIA

MODLITWA PIUSA XII

DO MATKI BOSKIEJ EMIGRANTÓW

Najświętsza Panienko, która wygnańcom z ojczyzny towarzyszysz na drogach świata w poszukiwaniu pracy i chleba, Ty, któraś także doświadczyła czym jest wygnanie, spójrz łaskawie na położenie nasze i błogosławiąc tego, co Ciebie gości u siebie, czuwaj, błagamy Cię, nad wszystkimi, których konieczność rozprasza, a braterstwo innych przyjmuje dołączając ich do własnych najcięższych prac w pocie czoła.

Ty, wspomożenie wiernych, pocieszycielko strapionych, bądź matką pełną miłości dla tego, kto zmuszony przez los, z dala od swego kraju, żyje wśród udręczeń zatroskany o siebie, o swoich i często nie ma bliskiego, co zrozumiałby w pełni jego utrapienia, wzmocnił jego siły, głosem krwi podniósł jego ducha załamanego.

Wzmocnieni twoim miłosierdziem, wsparci opatrznościową twoją macierzyńską opieką, chronieni twoją modlitwą, spraw, o Maryjo, abyśmy i my rozproszeni i nasze drżące o nas rodziny w kraju, wszyscy zarówno podtrzymani Wiarą, Nadzieją, Miłością, szli przez życie w świętej bojaźni Bożej i zdani na wolę Bożą, wierni Jezusowi Chrystusowi i Jego Kościołowi, cieszyli się owocami Sprawiedliwości chrześcijańskiej i zasłużyli dzięki nim na pokój w doczesności i doskonałą szczęśliwość w wieczności. Amen.

APOKRYF

NARODZINY MARII ŚWIĘTEJ, KTÓRA POCZĘŁA BOGA, NAJCHWALEBNIEJSZEJ MATKI JEZUSA CHRYSTUSA

I. W KRONIKACH dwunastu plemion Izraela zapisano jest, że Joachim posiadał wielkie bogactwa, ale że składał też ofiary w dwójnasób, mówiąc: „Co ponadto daję, niech będzie za wszystkich: ofiaruję to na odpuszczenie grzechów moich, ażeby sprzyjał mi Pan."

Kiedy nadszedł uroczysty dzień Pański i synowie Izraela przynieśli swe ofiary, Ruben wysunął się przed Joachima i rzekł: „Nie lża tobie pierwszemu składać ofiar, bowiem bezpotomny jesteś w Izraelu."

Zatem Joachim został przepełniony smutkiem i poszedł poradzić się kronik dwunastu plemion, mówiąc: „Zobaczę, co jest napisano w kronikach dwunastu plemion Izraela, czym ja jeden bezpotomny w Izraelu". Szukał i znalazł, że mężowie sprawiedliwi wszyscy obdarzeni byli potomstwem w Izraelu. Ale wspomniał również na patriarchę Abrahama i na to, że w późnej starości Bóg zesłał mu syna, Izaaka.

Tedy, pełen goryczy, nie powrócił Joachim przed oblicze swojej żony, ale udał się na pustkowie; tam rozbił namiot i pościł czterdzieści dni i czterdzieści nocy, mówiąc sam w sobie: „Nie powrócę, by jeść ni pić, zanim Pan, Bóg mój, nie nawiedzi mnie; modlitwa zaś będzie mi pokarmem i napojem moim."

II. TYMCZASEM żona jego, Anna, płakała, dwa mając powody do rozpaczy. „Zawodzić będę nad wdowieństwem moim, mówiła; zawodzić będę nad bezpłodnością moją."

Skoro nadszedł uroczysty dzień Pański, Judyta, sługa jej, rzekła: „Jak długo rozpaczać będzie dusza twoja? Oto dzień Pański; nie masz prawa płakać. Ale pójdź i weź ten rąbek, który ofiarowała mi dawna moja pani; sama nie mogę weń się przyozdobić, bom jest niewolnica, a ten nosi znamię królewskiego rodu."

Anna odrzekła: „Oddal się, nie uczynię nic podobnego, gdyż Pan upokorzył mnie. Z pewnością ktoś złośliwy ofiarował ci tę przepaskę, a teraz chcesz bym stała się współwinną twego błędu." Ale Judyta odparła: „Cóż złego mogłabym ci życzyć ponad to, co już cię spotkało, skoro Pan zamknął twoje łono, żeby nie wywiodło potomstwa w Izraelu!"

Wtedy, przepełniona bólem, Anna zdjęła żałobne swe szaty, umyła włosy i przybrała się w szaty godowe i około godziny dziewiątej zeszła na przechadzkę do ogrodu. Ujrzała drzewo wawrzynowe, usiadła w jego cieniu i zaczęła wzywać Wszechmocnego: „Boże ojców moich, pobłogosław mnie, spełń moje błagania, tak jak pobłogosławiłeś Sarę w jej żywocie i dałeś jej syna Izaaka."

III. A PODNOSZĄC oczy ku niebu, ujrzała w gałęziach wawrzynu gniazdo wróbli i znowu zaczęła jęczeć, mówiąc sama do siebie:

„Biada mi! Któż więc począł mnie, jakie wnętrzności wydały mnie na świat po to, żebym przeklętą się stała pomiędzy synami Izraela, żebym w hańbie wygnaną być miała ze Świątyni Pańskiej?

„Biada mi! Komuż więc jestem podobna? Nie ptakom niebieskim nawet, bo ptaki niebieskie płodne są przed obliczem Twoim, Panie.

„Biada mi! Komuż więc jestem podobna? Nie dzikim zwierzętom nawet, bo dzikie zwierzęta płodne są przed obliczem Twoim, Panie.

„Biada mi! Komuż więc jestem podobna? Nie wodom owym nawet, bo wody te płodne są przed obliczem Twoim, Panie.

„Biada mi! Komuż więc jestem podobna? Nie ziemi owej nawet, bo ziemia ta wydaje owoce w swoim czasie i błogosławi Cię, Panie."

IV. ALE OTO Anioł Pański ukazał się jej i rzecze: „Anno, Anno, usłyszał Pan skargę twoją. Poczniesz, porodzisz, a o potomstwie twoim mówić będą po całym świecie." Anna odrzekła: „Na Boga żywego, czy syna porodzę, czy córkę, ofiaruję je Panu, aby służyło Mu przez wszystkie dni życia!"

Natenczas dwaj Aniołowie zjawili się przed nią, mówiąc: „Oto Joachim, małżonek twój, wraca ku tobie z trzodami swymi, bowiem Anioł Pański zstąpił ku niemu i rzekł mu: „Joachimie, Joachimie, usłyszał Pan skargę twoją. Wracaj, bo oto żona twoja, Anna pocznie w żywocie swoim."

I opuścił pustkowie Joachim. Zwołał pasterzy swoich i rzekł im: „Przywiedźcie mi dziesięcioro jagniąt bez skazy ni ułomności: ofiaruję je Panu, Bogu mojemu. Przywiedźcie mi także dziesięcioro najmłodszych cieląt, będą dla kapłanów i dla Rady Starszych. A sto koźląt niech będzie dla ludu całego."

Tak oto wrócił Joachim ze swymi trzodami. Anna, która stojąc w progu, czekała na niego, kiedy zobaczyła, że nadchodzi, wybiegła mu naprzeciw i rzucając mu się na szyję, rzekła: „Teraz wiem, że Bóg obdarzył mnie błogosławieństwem, albowiem byłam jako wdowa, a nie jestem nią; byłam bezpłodna, a oto poczną wnętrzności moje." I to był pierwszy wieczór, kiedy Joachim spoczął w domu swoim.

V. NAZAJUTRZ udał się, aby złożyć ofiarę, mówiąc sam w sobie: „Jeżeli sprzyja mi Pan Bóg, niechaj pozwoli, żebym ujrzał złotą blachę kapłana".*) Złożył więc swoje ofiary i skierował swój wzrok na złotą blachę kapłana, kiedy ten wchodził na stopnie ołtarza i w ten sposób przekonał się, że nie było w nim grzechu. I rzekł natenczas Joachim: „Wiem teraz, że Pan sprzyja mi i że grzechy moje zmazane zostały!" Oczyszczony opuścił Świątynię Pańską i powrócił do domu swego.

Otóż miesiące Anny dopełniały się, zaś dziewiątego porodziła. I zapytała położnej: „Cóż wydałam na świat?" Tamta odrzekła: „Córkę". Anna zaś na to: „Oto dzień, w którym Pan pobłogosławił duszę moją!" I położyła dziecię. Potem, gdy dopełniły się dni przepisane zwyczajem, wstała, dała pierś dziecięciu swemu i nadała mu imię Maria.

VI. Z DNIA na dzień dziecię rosło w siły. Gdy miała sześć miesięcy, matka postawiła ją na ziemi, żeby zobaczyć, czy się utrzyma, stojąc. Zrobiła siedem kroków, po czym wróciła na łono matki swojej. Ta zaś podniosła ją do góry, mówiąc: „Na Pana mego, Boga żywego, nie dotkniesz więcej stopą tej ziemi, zanim nie zawiodę cię do Świątyni Pańskiej." I ustanowiła sanktuarium w pokoju dziecka i nie pozwalała karmić go niczym, co skalane, czy niegodne. I zaprosiła córy Hebrejczyków czystej krwi, żeby bawiły się z dziecięciem.

Gdy mała skończyła pierwszy rok życia, Joachim wydał wielką ucztę. Zaprosił kapłanów, skrybów i członków Rady i cały lud Izraela. Kiedy przedstawił dzieweczkę kapłanom, ci pobłogosławili ją, mówiąc: „Boże ojców naszych, pobłogosław tę dzieweczkę i spraw, żeby jej imię wzywane było wiecznie i przez wszystkie pokolenia!" A cały lud odpowiedział: „Niech tak się stanie! Niech tak się stanie! Amen!" A kiedy Joachim przedstawił ją także wyższym kapłanom, ci pobłogosławili ją również, mówiąc: „Boże wysokości, spuść wejrzenie swoje na tę dzieweczkę, daj jej najwyższe błogosławieństwo, błogosławieństwo niepodobne żadnemu innemu."

Potem matka zaniosła ją do sanktuarium w jej pokoju i dała jej piersi. Wtedy Anna skierowała ku Bogu hymn tymi słowami: „Pragnę śpiewać Panu Bogu mojemu hymn, ponieważ nawiedził mnie i oddalił ode mnie szyderstwo nieprzyjaciół moich. Bowiem obdarzył mnie Pan owocem sprawiedliwości swojej, sprawiedliwości, która jest jedna i mnoga zarazem. Któż zapowie teraz synom Rubena, że Anna jest matką? Dowiedzcie się dowiedzcie się, dwanaście plemion Izraela, że Anna jest matką!" Następnie złożyła dziecię w pokoju z sanktuarium i wyszła, żeby usługiwać gościom swoim; byli pełni radości i chwalili Boga Izraela.

VII. MIESIĄCE upływały dzieweczce. Kiedy miała lat dwa, Joachim rzekł: „Zaprowadźmy ją do Świątyni Pańskiej, żeby wypełniła się obietnica, jaką złożyliśmy, w przeciwnym razie Wszechmogący ześle nam ostrzeżenie i ofiarę, jaką zaniesiemy, odrzuci." Ale Anna odpowiedziała: „Zaczekajmy do trzeciego roku, niech dziecię podrośnie na tyle, by móc rozpoznać rodziców swoich." Joachim odrzekł: „Zaczekajmy!"

Kiedy dzieweczka skończyła lat trzy, Joachim rzekł: „Zwołajcie córy hebrajskie czystej krwi i niech każda weźmie ze sobą pochodnię, pochodnię, która nie gaśnie. Dziecię nie powinno się oglądać za siebie, a serce jego nie zamieszka poza Świątynią Pańską." Posłuchały tego rozkazu i razem udały się do Świątyni Pańskiej.

Kapłan przyjął dziecię i wziął je w ramiona. Pobłogosławił je, mówiąc: „Wsławił twoje imię Pan po wszystkie pokolenia. W tobie to bowiem w dni ostatnie objawi Zbawienie, którym obdarzyć raczy synów Izraela."

I posadził dziecię na trzecim stopniu ołtarza. A Pan Bóg zlał na nią łaskę swoją. Podniósłszy się, zaczęła tańczyć. I drogą stała się całemu domostwu Izraela.

VIII. RODZICE zaś wrócili ze Świątyni i pełni byli podziwu i chwalili Boga: dziecię nie obejrzało się za siebie. A Maria pozostała w Świątyni Pana, podobna do gołąbki, a ręka Anioła karmiła ją.

Kiedy doszła do lat dwunastu,**) kapłani zebrali się, mówiąc: „Oto Maria osiągnęła wiek lat dwunastu w Świątyni Pańskiej; cóż postanowimy o niej, aby nie skalała sanktuarium?" I rzekli do arcykapłana: „Ty, który jesteś przełożonym przed ołtarzem Pana, wnijdź i módl się za Marię. Uczynimy to, co nam Pan objawi."

I, przyoblekłszy płaszcz o dwunastu dzwoneczkach, arcykapłan wszedł w miejsce Święte-Świętych i modlił się na intencję Marii. I oto Anioł Pański ukazał mu się, mówiąc: „Zachariaszu, Zachariaszu, wyjdź i zbierz tych wszystkich spośród ludu, którzy są bezżenni. Każdy niech przyniesie różdżkę. I niechaj ten, dla którego Pan sprawi cud, pojmie Marię za żonę!"

Posłańcy wyszli więc i rozbiegli się po całym kraju judejskim i święta trąbka rozległa się i zbiegli się wszyscy.

IX. OTÓŻ, JÓZEF, zabrawszy swoją siekierę, wyszedł, by do nich dołączyć i wszyscy razem stawili się ze swymi różdżkami przed arcykapłanem. Ten zebrał różdżki, wszedł do Świątyni i zaczął się modlić. Kiedy skończył modły, wyszedł i oddał je właścicielom, ale żaden cud się nie objawił. Józef otrzymał swoją różdżkę na samym końcu i oto nagle gołębica wyleciała i zaczęła krążyć nad głową Józefa. Arcykapłan wtedy rzekł mu: „Tobie sądzonym jest wziąć pieczę nad Dziewicą Pańską."

Ale Józef opierał się: „Jestem stary i mam już synów, podczas kiedy ona jest młoda; po cóż mam stać się pośmiewiskiem synów Izraela?!" Arcykapłan odpowiedział Józefowi: „Lękaj się Pana, Boga twojego i pomnij na to, co uczynił Pan dla Datana, Abirona i Korego***) i w jaki sposób, dla nieposłuszeństwa swego pochłonięci zostali przez ziemię, co się rozstąpiła. Strzeż się, Józefie, by podobna rzecz nie stała się w domu twoim!"

I napełniony bojaźnią, wziął Józef Marię pod pieczę swoją i rzekł jej: „Oto wziąłem cię ze Świątyni Pana, a teraz zostawię cię w domu moim, a sam pójdę budować domy gdzie indziej, potem zaś wrócę do ciebie. Niech Bóg cię ma w swej opiece."

X. OTÓŻ KAPŁANI zebrali się i rzekli: „Potrzeba zasłony do Świątyni Pańskiej". Arcykapłan zaś powiedział: „Zwołajcie mi dziewice czystej krwi z plemienia Dawidowego!" Posłańcy rozbiegli się, szukali i znaleźli siedem dziewic. Następnie arcykapłan przypomniał sobie młodą Marię, że była z plemienia Dawidowego i bez zmazy przed Panem. Wyszli więc słudzy i przywiedli ją także.

Wprowadzono je do Świątyni Pańskiej i arcykapłan rzekł: „Ciągnijcie losy, która z was będzie przędła złoto i amiant, i len, i jedwab, i hiacynt i szkarłat, i prawdziwą purpurę." Szkarłat i prawdziwa purpura przypadły Marii, która, otrzymawszy je wróciła do domu swego. W tej to chwili Zachariasz zaniemówił****) i Samuel zastąpił go aż do chwili, kiedy odzyska mowę. A Maria przędła szkarłat, który jej poruczono.

XI. WZIĄWSZY dzban, wyszła Maria, żeby naczerpać wody. I oto głos jakiś rozległ się i rzekł: „Pozdrowiona bądź, Mario, łaskiś pełna; Pan z tobą. Błogosławionaś ty między niewiastami." Rozejrzała się na prawo, na lewo, żeby zobaczyć, skąd pochodzi ów głos. I, cała drżąca, powróciła do domu, postawiła dzban, a biorąc purpurę, zasiadła, żeby prząść na nowo.

Lecz oto Anioł Pański ukazał się przed nią, mówiąc: „Nie lękaj się, Mario, bo znalazłaś łaskę w obliczu Wszechmocnego Pana i poczniesz z Jego Słowa." Słysząc to Maria, pełna wahania, rzekła: „Jeżeli mam począć z Boga, Pana żywota, czy znaczy to, że począć mam tak, jak poczyna każda niewiasta?"

Ale Anioł odpowiedział: „Bynajmniej, Mario, ponieważ moc Pana będzie z tobą i dlatego święta istota, którą porodzisz nazwana będzie Synem Najwyższego. A nadasz mu imię Jezus i on to będzie, który wyzwoli z grzechów lud swój." A Maria odrzekła: „Otom ja służebnica Pana mego: niech mi się stanie według słowa twego."

XII. I UPRZĘDŁA Maria szkarłat i purpurę i zaniosła je kapłanowi. Ten zaś pobłogosławił ją, zawoławszy: „Mario, uświęcił Pan imię twoje i błogosławioną będziesz przez wszystkie narody."

Pełna wesela, udała się Maria do Elżbiety, krewnej swojej. Zastukała do drzwi. Elżbieta zaś, usłyszawszy, odrzuciła swoją wełnę szkarłatną, pobiegła do drzwi i otwarła. Widząc Marię, pobłogosławiła ją, mówiąc: „Jak to się dzieje, że Matka Pana mego przychodzi do mnie? Bo oto dziecię, które jest we mnie, podskoczyło i pobłogosławiło cię." Maria jednak, zapomniawszy o tajemnicach, które objawił jej Archanioł Gabriel, podniosła oczy ku niebu i wykrzyknęła: „Kimże więc jestem, o Panie, żeby wszystkie pokolenia świata błogosławiły mnie?"

Pozostała trzy miesiące z Elżbietą. Z dnia na dzień żywot jej powiększał się. Pełna udręki, wróciła Maria do swego domu, kryjąc się przed synami Izraela. A liczyła lat szesnaście, kiedy cuda te miały miejsce.

XIII. TAK NADSZEDŁ jej szósty miesiąc i Józef wrócił z budowli, przy której pracował. Wszedłszy do domu, zastał Marię brzemienną. Ukrył twarz w dłoniach, rzucił swój płaszcz na ziemię, lejąc gorzkie łzy i mówiąc: „Z jakim czołem pokażę się Panu Bogu memu? Jakże wymienię w modlitwie tę pannę? Bo oto dziewicą została mi dana ze Świątyni Pańskiej, a nie ustrzegłem jej wcale. Któż mnie zaskoczył? Kto popełnił tę zbrodnię w domu moim i skalał tę dziewicę? Czyż nie powtarza się dla mnie historia Adama? Podczas kiedy trwał na modlitwie, wąż wślizgnął się do Ewy, zastał ją samą i skusił ją. Czyż nie jest podobnie i ze mną?"

I podniósłszy się ze swojego płaszcza, Józef zawezwał Marię i rzekł jej: „O! wybranko Boga, cóżeś uczyniła? Zapomniałaś o Bogu, Panu twoim? Czemu skalałaś duszę swoją, ty, która byłaś wychowana w Świętym Świętych i i którą karmiła ręka Anioła?"

A ona zapłakała gorzko, mówiąc: „Jestem czysta i nie znam żadnego mężczyzny". A Józef na to: „Skąd więc bierze się to, co nosisz w żywocie swoim?" A Maria rzekła: „Na Pana mego, Boga żywego, nie wiem, jak to się stało."

XIV. JÓZEF więc, z sercem w rozterce, unikał Marii nie wiedząc, jak się wobec niej zachować. I mówił sobie: „Jeżeli ukryję grzech jej, złamię ciężko prawo Pańskie. Ale jeżeli oskarżę Marię wobec synów Izraela, lękam się, iżby dziecię, które nosi w łonie, nie pochodziło od Anioła i żebym w ten sposób nie wydał na śmierć istoty niewinnej. Jakże mi więc postąpić z nią? Wypędzę ją potajemnie." I tak noc zstąpiła na niego.

A oto Anioł Pański ukazał mu się we śnie, mówiąc: „Nie lękaj się dziewczęcia tego: ponieważ to, co nosi ona w sobie, jest dziełem Ducha Świętego. Porodzi ona syna; a ty nazwiesz go imieniem Jezus, gdyż on to uwolni lud twój z grzechów jego." Józef obudził się, wstał i chwalił Boga Izraela za łaskę, która spłynęła na niego i zatrzymał Marię w domu swoim.

XV. A OTO Annasz, skryba, przyszedł do niego i rzekł mu: „Dlaczego nie pokazujesz się w naszym gronie?" A Józef odpowiedział: „Byłem zmęczony podróżą, a nazajutrz odpoczywałem." Ale obróciwszy się, ujrzał Annasz Marię, że była brzemienna.

Pobiegł więc do kapłana, wołając mu: „Józef, któremu zaufałeś, zgrzeszył ciężko." Kapłan odrzekł: „Jakiż jest grzech jego?" Annasz na to: „Dziewica, którą wziął ze Świątyni Pańskiej jest skalana; w sekrecie dopełnił on z nią małżeństwa, a nie zawiadomił synów Izraela." A kapłan, zadziwiony, wykrzyknął: „Józef to uczynił?" Zaś skryba Annasz odpowiedział: „Wyślij sługi, a dowiesz się, że dzieweczka jest brzemienna." I wyszli słudzy i stwierdzili, jako się rzecz miała. Przywiedli więc Marię i towarzyszącego jej Józefa, ażeby zostali osądzeni.

A kapłan rzekł: „Mario, dlaczegoś to uczyniła? Czemu skalałaś duszę swoją i zapomniałaś o Panu, Bogu twoim? Ty, która wychowana byłaś w Świętym Świętych, która słuchałaś hymnów i tańczyłaś święte tańce, czemuś to uczyniła?" Ale Maria, lejąc gorzkie łzy, mówiła: „Klnę się na Pana, Boga mojego, że czystą jestem w obliczu Jego i że nie znam mężczyzny."

I kapłan rzekł Józefowi: „Dlaczegoś to uczynił?" Józef zaś odpowiedział: „Na Pana, Boga mojego, klnę się, nie jestem winien obcowania z nią." A kapłan podjął: „Nie daj fałszywego świadectwa: powiedz prawdę! W sekrecie dopełniłeś tego małżeństwa, a nie uprzedziłeś synów Izraela. Nie skłoniłeś głowy przed kapłanem, żeby ręka jego pobłogosławiła potomność twoją." Zaś Józef milczał.

XVI. KAPŁAN więc rzekł: „Oddaj dziewicę, którą poruczono ci ze Świątyni Pańskiej!" A Józef płakał mocno. Kapłan zaś rzekł: „Poddam was próbie wody*) Pańskiej i w ten sposób grzech wasz wyjawiony zostanie."

Zeczerpnąwszy więc wody Pańskiej, kapłan dał pić Józefowi i wysłał go w góry; ale ten powrócił bez szwanku. Dał pić Marii i wysłał ją w góry; ale ona także powróciła bez szwanku.

I cały lud pełen był podziwu, ponieważ żaden grzech nie wyjawił się w nich.

A kapłan rzekł: „Ponieważ Pan Bóg nie wyjawił grzechu, o jaki jesteście oskarżeni, ja także nie potępię was." I odesłał ich uniewinnionych. Józef więc wziął Marię i wrócił do domu swego pełen radości, chwaląc Boga Izraela.

XVII. A OTO ukazał się edykt cesarza Augusta, nakazujący sporządzić spis wszystkich mieszkańców Betlejemu w Judei. I Józef rzekł: „Co do mnie, podam do spisu synów moich, ale jeśli chodzi o tę dzieweczkę, cóż uczynię? Jakże ją podam do spisu? Jako żonę moją? Wstydziłbym się. Jako mą córkę? Ale wiadomą jest rzeczą w Izraelu, że córką mą nie jest. Kiedy nadejdzie dzień Pański, wypełnię wolę Pana."

Osiodłał więc oślicę swoją, posadził na niej Marię, syn Józefa prowadził bydlę, a Józef szedł z tyłu. Kiedy przeszli około trzech mil, zwrócił się Józef ku Marii; ujrzał, że jest smutna i rzekł sobie: „Z pewnością to, co nosi w łonie swoim, dręczy ją." Ale, zwróciwszy się ku niej raz drugi, ujrzał, że się śmiała. I rzekł jej: „Co ci jest, Mario, że twarz twoja raz jest promienna, a raz pełna smutku?" A Maria rzekła Józefowi: „To dlatego, że widzę przed sobą dwa ludy; jeden opłakuje swe grzechy; drugi weseli się i podskakuje z radości.**)

Kiedy znajdowali się w połowie drogi, Maria rzekła: „Pomóż mi zsiąść z oślicy, bo to, co jest we mnie, sprawia mi ból i nie mogę jechać dalej." Pomógł jej zsiąść z oślicy i rzekł jej: „Gdzież cię zawiodę? Gdzie ukryć wstyd twój? Bo jesteśmy pośród pustkowia."

XVIII. I ODNALAZŁ grotę w pobliżu i wprowadził weń Marię. Zostawił syna swego przy niej, sam zaś udał się na poszukiwanie położnej pochodzenia hebrajskiego w krainie Betlejem.

Otóż ja, Józef, kiedy tak szedłem, zatrzymałem się nagle. Podniosłem oczy i ujrzałem, że przestworza pełne były zdumienia. Spojrzałem wyżej jeszcze w niebo i ujrzałem, że znieruchomiało, a ptakł zakrzepły w locie. Zniżyłem oczy ku ziemi i ujrzałem dzieżę i pracowników, pochylonych

(Ciąg dalszy na str. 6)

---

*) Ten „test", który Joachim sam sobie zadaje, wytłumaczyć można w sposób następujący: arcykapłan, ubrany w uroczyste szaty, nosił złotą blachę, o której jest mowa w Biblii (Księga Wyjścia, XXVIII. 32, 34; Księga Kapłańska, VIII. 9). W chwili, kiedy arcykapłan mijał święty podwórzec, żeby udać się do ołtarza lub do Świętego Świętych, znajdował się dość daleko od zwykłych wiernych, stłoczonych na podwórcu Izraela. Aby rozróżnić złotą blachę, trzeba było z pewnością, żeby promień światła zamigotał na niej. O ten właśnie błysk prosił Joachim na znak.

**) To znaczy dojrzała do małżeństwa.

***) Aluzja do Księgi Liczb, XVI: Kore, wspierany przez Abirona i Datana, zbuntował się przeciwko Mojżeszowi i Aaronowi. Bóg ukarał ich w ten sposób, że ziemia pochłonęła ich wraz z wszystkimi stronnikami.

****) Aluzja do Ewangelii według św. Łukasza, I. 22.

*) „Żona, która by... wzgardziwszy małżonkiem swoim, spała z innym mężem... jeśli duch podejrzenia wzruszy męża przeciw żonie swojej... przywiedzie ją do kapłana... Kapłan ją tedy postawi przed Panem. I weźmie wody świętej w naczyniu glinianym i trochę ziemi z tła przybytku wsypie na nią... i poprzysięże ją i rzecze: „Jeśli nie spał mąż obcy z tobą i jeśliś nie jest splugawiona, nie zaszkodzą ci te wody bardzo gorzkie, na które klątwy nagromadziłem. Ale jeśliś odstąpiła od męża twego i jesteś splugawiona, a obcowałaś z innym mężem, ...niechaj cię poda Pan na przekleństwo... niech uczyni, że wygnije łono twoje, a żywot twój, opuchnąwszy, niech się rozpęknie." (Księga Liczb, V. 12-22).

**) Aluzja do wersetu Księgi Rodzaju (XXV. 23): „Dwa narody są w żywocie moim i dwaj ludzie z żywota twego rozdzielą się." Autor myśli o wierzących i niewierzących, o Żydach i o poganach?

Pieśń o Zwiastowaniu Najświętszej Panny Maryi

(z XVI-go wieku)

Archanioł Boży Gabryjel
Posłan do Panny Maryjej
Z majestatu Trojcy świętej,
Tak sprawował poselstwo k'Niej:
Zdrowaś Panna, łaski pełna,
Pan jest z Tobą, to rzecz pewna.
Panna się wielmi zdumiała
Z poselstwa, ktore słyszała.
Pokorniuchno się skłoniła,
Jako Panna wstrzemięźliwa,
Zasmuciwszy się z tej mowy,
Nic nie rzekła Aniołowi.
Ale Poseł z wysokości
Napełnion Boskiej mądrości,
Rzekł Jej: Nie boj się Maryja!
Naszczęśliwsza-ś, Panno miła!
Nalazłaś łaskę u Pana.
Oto poczniesz Jego Syna,
Jezus nazwiesz imię Jego,
Będzie Synem Nawyższego.
Wielki z strony człowieczeństwa,
A niezmierny z strony Bostwa,
Wieczny Syn Oćca wiecznego,
Zbawiciel świata wszytkiego.
A jakożby to mogło być?
Jęła Panna k' niemu mowić:
Ja nie chcę nigdy męża znać.
Jął Jej Anioł tak powiedać:
Iż Duch święty z swej miłości
Sprawi to w Tobie w czystości
Jemuż Panna wnet wierzyła,
Przyzwalając, tak mowiła:
O pośle Boga wiecznego,
Gdy tak wola Pana mego,
To ja służebnica Jego,
Zstań się według słowa Twego.
Rychlej niżby mignął okiem
Zstał się Syn Boży człowiekiem
W żywocie Panny Naświętszej,
Ze krwie czystego serca Jej.
Sprawą Boga wszechmocnego,
Miłośnika człowieczego.
I tać wielka miłość była
Boga Oćca Jego Syna.
Iż dla człowieka grzesznego
Z majestatu nawyższego
Z miłości pociesznym wielkim
Zstał się Syn Boży człowiekiem.
O aniele Gabryjele!
Naszlachetniejszy Aniele,
O pośle naznakomitszy,
Nie jest tobie rowny inszy.
Z poselstwa, ktoreś sprawował,
Znać iż cię Bog umiłował.
Pośle Boga wszechmocnego,
Gdyś tak w wielkiej łasce Jego,
Modl się do Boga za nami,
I do tej Naświętszej Pani,
Abychmy z grzechow powstali,
Po śmierci z Nim krolowali.
Bogu Oćcu wszechmocnemu,
Synowi Jego miłemu,
I Duchowi naświętszemu,
Bogu w Trojcy jedynemu,
Dziękujmy dziś w pokorności
Tak wielkiej Jego miłości.
Amen.

Pieśń ta pochodzi z wieku XVI. Odtworzono tu jej pierwotne brzmienie z druku dość popsutego w „Kantyczkach pieśni nabożnych" wydanych w 1785 r. Przedrukował ją w swojej „Biblioteczce Luksemburskiej" Władysław Mickiewicz w Paryżu (wydanie bez daty).

Niektóre wiersze wydają się w czytaniu nierytmiczne, ale w nich rytm pieśni nadaje wyrazom akcenty, jak to się często dzieje w pieśniach naszego ludu. Należy je tak czytać, jak gdyby się je śpiewało, a wtedy nie wydadzą się bynajmniej co do rytmu kulawe. Dla przykładu znaczymy tu w tych wierszach akcenty pieśni:

Tak spra-wo'-wał, po-sel-stwo' k'niej

albo:

I ja-koż' — by to, mo-gło' być

albo:

Ze krwie czys-te'-go, ser-ca' Jej

oraz:

Ja nie chcę' ni-gdy' męża' znać.

Uderza tu miejscami łacińska składnia, np.: napełnion (nie: czym, ale: czego:) Boskiej mądrości.

Podała **Jadwiga Teslarowa**

nad nią, z rękami w dzieży: bo ci, co miesili ciasto, przestali je miesić, a ci, co podnosili je ku ustom, przestali je podnosić, a wszyscy mieli oczy skierowane ku górze. I oto owce, które pędzono, stanęły jak wryte, a pasterz, który podniósł kij swój, żeby je popędzić, zamarł z ręką wyciągniętą do góry. A patrząc na rzekę, ujrzałem koźlęta zajęte gaszeniem pragnienia, których pyszczki były otwarte, ale które nie piły. Potem, w jednym okamgnieniu, wszystko wróciło do zwykłego stanu.

XIX. A OTO niewiasta zeszła z gór i rzekła mi: „Człowieku, dokąd więc zmierzasz?" Odpowiedziałem: „Szukam położnej pochodzenia hebrajskiego." Rzekła mi: „Jesteś-li z Izraela?" Powiedziałem: „Tak." Odpowiedziała: „Kim jest więc ta, co rodzi w grocie?" Rzekłem: „Oblubienica moja." Podjęła: „Nie jest więc ona małżonką twoją?" Rzekłem jej: „To Maria, która wychowana była w Świątyni Pańskiej i która przyznana mi została za żonę. Ale nie jest ona żoną moją i to, co poczęła, jest z Ducha Świętego." A położna rzekła mu: „Prawda-li to?" Józef odpowiedział zaś: „Pójdź i zobacz!" I położna poszła z nim.

Zatrzymali się koło groty, a oto obłok jasności otoczył grotę. A położna wykrzyknęła: „Szczęśliwa dzisiaj jest dusza moja, bo oczy moje były świadkami cudów: Zbawiciel narodził się dla Izraela!" I nagle obłok rozpłynął się i rozbłysło światło tak silne, że oczy nasze nie mogły go znieść. Światło to słabło powoli aż do chwili, kiedy dziecię ukazało się i zaczęło ssać pierś matki swojej, Marii. A położna wykrzyknęła: „Wielki dzień dziś nastał dla mnie, bo świadkiem byłam niesłychanego cudu!"

I opuściwszy grotę, położna spotkała Salome. I rzekła jej: „Salome, Salome, mam ci do opowiedzenia cud niesłychany: dziewica porodziła dziecię, wbrew naturze." Salome odpowiedziała: „Na Boga żywego, jeżeli nie włożę palca mego i nie zbadam tej rzeczy,***) nie uwierzę, że dziewica porodziła."

XX. I POŁOŻNA weszła i rzekła do Marii: „Przygotuj się, bo poważne wątpliwości powstały co do ciebie." A Salome, zbadawszy palcem naturę Marii, wydała okrzyk, mówiąc: „Biada bezbożności mojej i niedowiarstwu memu! Wywiodłam na pokuszenie Boga żywego! I oto ręka moja, jakby strawiona ogniem, odpada od ciała mego!"

I padła na kolana przed Wszechmogącym, mówiąc: „O Boże ojców moich, pomnij, że pochodzę z pokolenia Abrahama, Izaaka i Jakuba! Nie podawaj mnie na pośmiewisko synom Izraela, ale pozwól mi znowu pielęgnować biednych, bo w Twoim to imieniu pielęgnowałam ich i zapłata moja pochodziła od Ciebie."

A oto Anioł Pański ukazał się jej, mówiąc: „Salome, Salome, usłyszał Pan wołanie twoje. Zbliż dłoń twoją ku dziecięciu i weź je w ramiona twoje: ono będzie zbawieniem i szczęściem twoim."

I Salome zbliżyła się i wzięła dziecię w ramiona, mówiąc: „Padnę na twarz przed nim, ponieważ wielki król narodził się w Izraelu." I oto w tej chwili Salome została uzdrowiona i, oczyszczona, opuściła grotę. A głos jakiś mówił jej: „Salome, Salome, nie rozgłaszaj tych cudów, zanim dziecię nie wnijdzie do Jerozolimy."

XXI. A OTO Józef gotował się, by wnijść do Judei. I wielki zamęt uczynił się w Betlejem judzkim, gdyż Mędrcy przybyli, mówiąc: „Gdzież jest król żydowski, świeżo narodzony? Bo widzieliśmy gwiazdę jego na Wschodzie i przybyliśmy oddać mu pokłon."

Dowiedziawszy się, Herod przeraził się. Wysłał sługi do Mędrców i zwołał kapłanów, żeby wypytać ich, mówiąc: „Co napisano jest na temat Mesjasza? Gdzie ma się narodzić?" Odpowiedzieli mu: „W Betlejem ziemi judzkiej, gdyż tak napisano jest." Odesłał ich. Następnie zapytał Mędrców: „Jakiż to znak widzieliście, tyczący króla nowonarodzonego?" A Mędrcy odrzekli: „Widzieliśmy gwiazdę świecącą tak żywym blaskiem, pośród innych ciał niebieskich, że zaćmiewała je tak, iż stawały się niewidzialne. W ten sposób rozpoznaliśmy, że król narodził się dla Izraela i przybyliśmy, żeby mu oddać pokłony." A Herod rzekł: „Idźcie więc i szukajcie. A jeśli odnajdziecie go, dajcie mi znać, abym ja także mógł oddać mu pokłon."

I Magowie odeszli. A oto gwiazda, którą ujrzeli na Wschodzie, poprzedzała ich, póki nie dotarli do groty. I ujrzeli Mędrcy dziecię z matką jego, Marią, i wyjęli z kufrów swoich dary, złoto, kadzidło i mirrę.

Ale, przestrzeżeni od Anioła, żeby nie wracać przez Judeę, powrócili inną drogą do swego kraju.

XXII. SPOSTRZEGŁSZY, że oszukali go Mędrcy, Herod wpadł w gniew i wysłał żołdaków, mówiąc: „Wybijcie dzieci mające dwa lata i poniżej."

A Maria, dowiedziawszy się o rzezi niemowląt, zdjęta trwogą, wzięła dziecię, owinęła je w pieluszki i złożyła w stajni.

Elżbieta dowiedziała się, że szukano Jana. Wzięła go, uciekła w góry i rozglądała się, gdzie by go ukryć; a nie było schronienia. Rzekła więc na głos, jęcząc: „Góro Boża, rozstąp się, przyjmij matkę z dziecięciem jej." Bo Elżbieta nie mogła wspiąć się (aż na szczyt). I natychmiast góra rozwarła się i przyjęła ją. I zapaliło się światło, by oświecić im drogę, bo Anioł Pański był z nimi i strzegł ich.

XXIII. OTOŻ Herod szukał Jana i wysłał sługi do Zachariasza, mówiąc: „Gdzie ukryłeś syna swego?" Odpowiedział im: „Jestem na służbie Bożej w Świątyni Pańskiej; nie wiem, gdzie jest syn mój."

Słudzy oddalili się i zanieśli tę odpowiedź Herodowi. A Herod gniewny rzekł: „Jego syn ma rządzić Izraelem." I na nowo wysłał ich do niego mówiąc: „Powiedz prawdę. Gdzie jest twój syn?" Słudzy poszli i donieśli to Zachariaszowi.

A Zachariasz rzekł: „Jeżeli przelejesz krew moją, będę męczennikiem Bożym. Wszechmogący przyjmie duszę moją, gdyż krew, którą chcesz przelać u wnijścia do Świątyni Pańskiej, niewinna jest." I o świcie Zachariasz został wydany na śmierć.

XXIV. OTO KAPŁANI przyszli do Świątyni w godzinie rannych modłów, a Zachariasz nie wyszedł im naprzeciw, żeby, według zwyczaju, pobłogosławić ich. Kapłani zatrzymali się i czekali na Zachariasza, żeby powitać go wśród modłów i chwalić Najwyższego.

Gdy spóźniał się, przelękli się wszyscy; jeden z nich, śmielszej natury, wszedł do Świątyni i ujrzał przy ołtarzu zakrzepłą krew. Głos jakiś rozległ się: „Zachariasz został wydany na śmierć; krew jego nie da się zetrzeć aż do chwili, kiedy pojawi się mściciel jego." Słysząc te słowa, przerazili się i wyszedł, by zanieść nowinę kapłanom.

Owi ośmielili się, by wejść i ujrzeli, co się stało. Stropy Świątyni wydały jęk; oni sami rozdarli szaty od góry do dołu. Nie odnaleźli ciała jego, jedynie krew, zakrzepłą na kamień. Wyszli, zdjęci trwogą, i obwieścili całemu ludowi, że Zachariasz został zgładzony. A dowiedziawszy się, wszystkie plemiona zapłakały i lamentowały przez trzy dni i trzy noce.

Po trzech dniach kapłani naradzili się, kogo wybrać na jego miejsce i los padł na Symeona; to był ten, któremu Duch Święty zapowiedział, że nie umrze, zanim oczy jego nie ujrzą wcielonego Chrystusa.

XXV. JA TEDY, Jakub, który spisałem te dzieje, skoro zamieszki wybuchły w Jerozolimie po śmierci Heroda, udałem się na pustynię, żeby przeczekać aż w Jerozolimie uspokoi się, chwaląc Boga Wszechmogącego, który dał mi łaskę i zdolność, bym spisał te dzieje.

Niech łaska będzie z tymi, co lękają się Pana naszego, Jezusa Chrystusa; Jemu cześć i chwała po wieki wieków. Amen.

Przełożył Daniel-Rops
Spolszczyła **Zofia Romanowiczowa**

***) Wyraźna aluzja do epizodu niedowiarstwa świętego Tomasza, opowiedzianego przez Ewangelię według św. Jana (**XX, 25**).

LECH SAWICKI

WITRAŻ

Kościoły romańskie budowano jak fortece; wieńczyły je blanki, okna były na podobieństwo strzelnic, a mur ścian dochodził do grubości kilku łokci. Nierzadko kościoły te, jak prawdziwe twierdze, były ucieczką dla okolicznych mieszkańców — nierzadko też przez wiele dni odpierały skutecznie zastępy najeźdźców.

Charakterystyczne dla tego stylu okna, jak strzelnice, nie dawały wnętrzu świątyni dostatecznej ilości światła, a wokół oblegały ją wielkie przestrzenie pustych ścian.



Lech Sawicki **PAX VOBISCUM**

W Bizancjum rozwiązano w tym samym czasie zagadnienie to tak, że ściany i wnętrza kopuł wypełniono mozajkami-obrazami z barwnych kamyków i złota. Technika ta, niezmiernie trwała, rodziła efekty w nastroju i kolorycie ogromne.

W Italii tymczasem Giotto maluje ogromne i sławne swe freski w świątyniach romańskich. Za nim idą inni.

Zachód Europy, a przede wszystkim Francja, znajduje nowe rozwiązanie: ściany kościołów zawieszono wzorzystymi makatami. Wzrok człowieka ówczesnego nawykł do barwnych plam tych opon i kobierców. Nagle u schyłku **XII** w., a w brzaskach **XIII** rodzi się nowa sztuka — gotyk.

Ostrołuk, a z nim strzeliste linie konstrukcji architektonicznej, przynieśli może ze Wschodu pątnicy do Ziemi Świętej, a może Krzyżowcy, lub też może ten nowy styl objawił się komuś, kto wędrując przez bory sosnowe ówczesnej Europy dopatrzył się w układzie konarów, smukłości pni, wreszcie w kształcie szyszek jego przyszłych form architektonicznych.

Francja pierwsza zaczyna budować w nowym stylu. Powstają rozległe a niebosiężne, niezmiernie trwałe, a na oko jakże lekkie jej katedry.

Podstawą konstrukcji staje się filar, a nie ściana. Dochodzi do tego, że braknie ścian w budowli; filary dzierżą wysokie sklepienia, a pustkę, jaka się tworzy teraz między nimi — wypełnia szkło.

Człowiek nawykły przynajmniej od lat 200 do widoku barwnych makat, obrazujących sceny religijne zaskoczony jest ich brakiem, nie ma bowiem miejsca w nawie gotyckiej na ich rozmieszczenie. Powstałą lukę zapełnia teraz witraż, który jak gdyby staje się kobiercem ze szkła i ołowiu. Nie jest ustalonym, kto był wynalazcą tej sztuki. Już w **XI** w. znane są jej pierwociny, rozwój jednak i wspaniały rozkwit datują się od końca **XII** w. i święcą swój triumf przez wiek **XIII** i **XIV**.

Klasyczny witraż komponowany był płasko, podobnie jak kobierzec, ramy jego okalały przeważnie kwiatony i ornamenty geometryczne, środek stanowiły sceny lub postacie biblijne. Linie konturów były proste i zdecydowane, bez wszelkich zbędnych szczegółów i zagmatwań; ówczesny artysta instynktownie unikał perspektywy, dzięki czemu dzieło nabierało cech monumentalnych. Zaledwie kilkoma kolorami szkła dysponował ówczesny twórca: czerwień, szafir, szafranowa zieleń, kolor złota dominowały nade wszystko w całości witrażu. Jakież było bogactwo odmian tych zasadniczych barw, jakie kapitalne ich zestawienia! Wieki nie uszczupliły tego bogactwa, owszem filtrowane latami światło słoneczne nadało tym starym oknom koloryt klejnotów. Próżno dzisiejsza technika biedzi się nad tym, by uzyskać podobne barwy sztucznie. Nazwisk twórców najbardziej nawet sławnych witraży przeważnie nie znamy — byli to skromni rzemieślnicy, którym się nawet nie śniło, by dzieła ich były kiedyś adorowane przez potomność, bardziej za ich stronę artystyczną, niż za treść, związaną z kultem. Wędrowali oni w kilku od miasta do miasta, z węzełkami potrzebnych narzędzi i przyborów. Otrzymawszy zamówienie od jakiegoś opata, biskupa, czy też kapituły, rozkładali się przy kościele, który szklić mieli i raźnie brali się do roboty. Jedni szukali w okolicy odpowiedniej gliny i piasku do wyrobu szkła, potem budowali piec, odlewali szyny ołowiu o profilu litery H, aby w nie oprawić później przykrajane szkło, inni uzgadniali treść rysunków z władzami kościelnymi. Poszczególne grupy miały swoje pilnie strzeżone tajemnice produkcji, a zwłaszcza produkcji kolorowego szkła. Mozolna to bowiem była praca na owe czasy, aby odlać niewielką płytę kolorowego szkła. Dziś patrząc na stare witraże, dziwimy się nieraz, że najmniejszą cząstkę szkła oprawiał ówczesny twórca z prawdziwie benedyktyńską cierpliwością i trudem w ołów, aby zaoszczędzić szkła.

Badając ich warunki pracy wprowadza nas w podziw to, że nie znając wówczas diamentu, szkło łamano obcęgami. Jakąż wprawę, jakież znawstwo materiału musiał posiadać ówczesny twórca witrażu, aby nie uszkodzić tak cennego szkła!

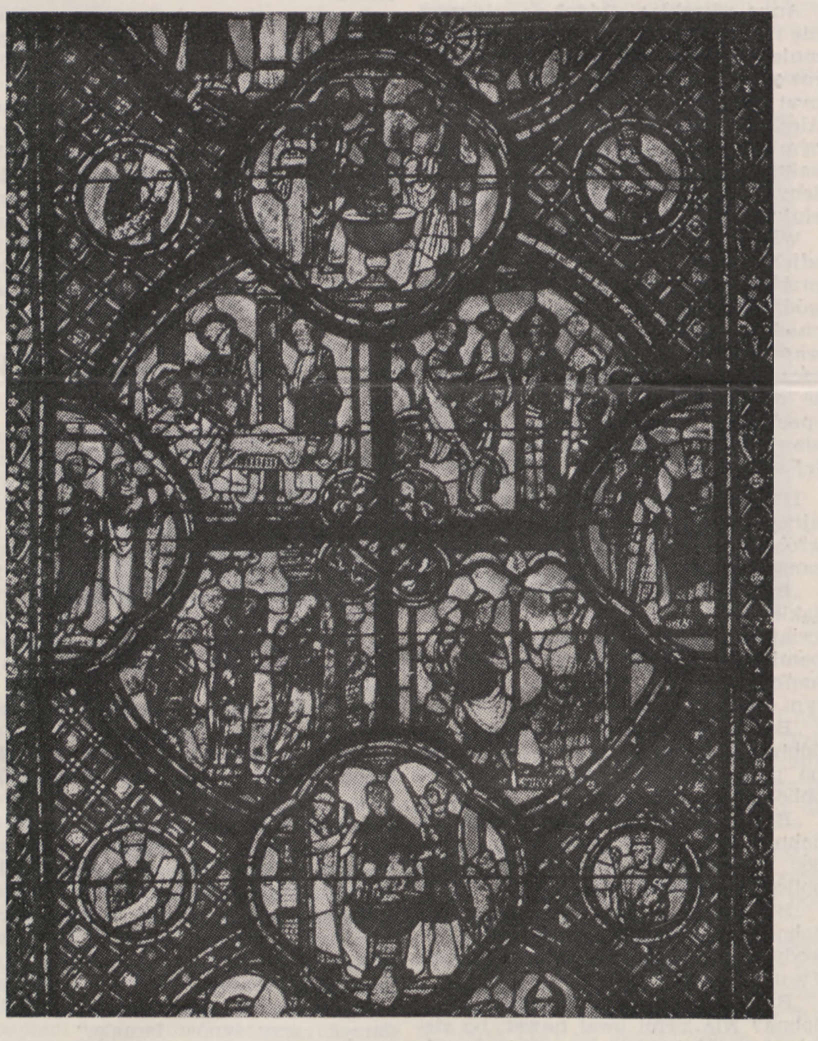
Przejdźmy teraz do kolejnych czynności produkcji witrażu. Na dużym stole rozkładano rysunek przyszłego okna którego wielkość nierzadko sięgała kilku metrów. By ułatwić sobie pracę, dzielono witraż na kilka sekcji, które były opracowywane oddzielnie. Na rysunku oznaczano grubymi kreskami granice poszczególnych kawałków szkła, następnie cięto je, a właściwie łamano w/g rysunku. Następną czynnością było kopiowanie na szkle ogniotrwałą, brunatną farbą zarysów twarzy, kończyn, fałd na draperiach, drzew, kwiatów itp., ściśle w/g narysowanego wzoru. Malowano też pewne szczegóły farbą żółtą, bo jedynie ta barwa w czasie wypalania nie zatraca swego kolorytu, przeciwnie, na skutek wyżarzania nabiera pięknego, złotego koloru.

Potem namalowane części szły do specjalnie skonstruowanego pieca, by utrwalić się w ogniu. Wydobyte ostrożnie z pieca i ostudzone, układano je znowu na stołach i przystępowano do wiązania ich taśmami z ołowiu, które na stykach lutowano. Gdy witraż był dużych rozmiarów, dzielono go na kilka, a nawet na kilkanaście części. Części te następnie oddzielnie wprawiano za pomocą haków w otwory okienne już w kościele. By ochronić taką ogromną i ciężką ilość szkła przed oberwaniem się lub wybrzuszeniem, stosowano mocne, żelazne, poprzeczne pręty, które umieszczano we framugach okien, a do których wiązano za pomocą drutu poszczególne sekcje okna. Zarówno zręczne rozmieszczenie tych prętów, jak i umiejętne związanie ołowiem całości nie tylko nie szpeci okna, ale przeciwnie, dodaje mu piękna, bo podkreśla siłę całej kompozycji. Tak w ogólnych zarysach przedstawia się proces powstawania witrażu w dawnych wiekach. Dziś pewne szczegóły produkcji ulepszono, lecz zasada pozostała ta sama.

Prawdziwy rozkwit witrażu cechuje wiek **XIII** i **XIV**. Przepyszny koloryt poszczególnych zasadniczych barw nie ma sobie równego w witrażach wieków następnych. W ciemnawych nawach starych gotyckich katedr efekt tych okien, to płonących rubinem, to skrzących się złotem słońca, to zielenią szmaragdów, wreszcie głębią bez granic szafirów — jest nieporównany.

Nigdy ręka ludzka ani przedtem, ani potem nie wyczarowała takiego kolorytu, jaki tam jest zaklęty. Jedno można powiedzieć bez cienia przesady, że przybytki te są godne nazwy domów Bożych. Jeden z opatów z tych czasów, z opactwa St. Denis ujął obowiązki ówczesnego człowieka, wstępującego do kościoła w 3 punktach: pierwszy to obowiązek dokonania znaku Krzyża Świętego wodą święconą, drugi to adoracja Najświętszego Sakramentu, wreszcie trzeci to chodzenie wewnątrz dokoła ścian kościelnych (pewno dlatego wielkie ołtarze w ówczesnych świątyniach były z obejściem) i kontemplacja scen, przedstawionych na witrażach.

Gdy nadszedł wiek **XV**, adoracja i rozmyślanie już nie wystarczały — człowiek rozpoczął się modlić z książki. Mroki świątyni utrudniają czytanie. Wychodzi więc zarządzenie, by tła witraży były ze szkła białego — rubin i szafir, dominujący dotąd w witrażach prawie zanikają — zastąpione kratkowanym przeźroczystym szkłem. Postacie i sceny na takich witrażach wyglądają teraz jak przyklejone do krat. Są gorliwcy, jak opat kościoła Mariackiego w Krakowie, który bodajże w **XVI** w. kazał w ogóle usunąć stare witraże, a wprawić czyste szkło. Od tego barbarzyństwa uchroniło się tylko kilka sekcji starych witraży, dzięki tylko temu, że były wysoko. Dziś dają one świadectwo, jak wyglądał kościół przed wiekami.



KATEDRA W CHARTRES
Życie św. Sylwestra — XIII wiek.

Z biegiem czasu sztuka witrażu upada, barok wyradza ją chorobliwie, witraż przestaje być od **XVI** w. sztuką samodzielną, witrażyści naśladują teraz malarzy, wprowadzają do witrażu perspektywę, starają się najbardziej naturalistycznie odtwarzać postacie, modelują draperie, wprowadzają do treści fałszywą architekturę i mimo, że posługują się teraz mnóstwem kolorów szkła, koloryt otrzymują nieczysty i mało szlachetny.

Chcąc wydobyć jak najwięcej naturalistycznej treści w witrażu, muszą oni szkło teraz przybrudzać czarną farbą, by móc modelować fałdy, cienie i cały mętlik niepotrzebnych detalów. Dojdzie do tego, że wspaniała, samodzielna sztuka witrażowa stanie się nieporadną sługą malarstwa, któremu nigdy dorównać nie może. Stan takiego upadku trwał w Europie aż do **XX** w. W Anglii trwa nadal. We Francji i w krajach skandynawskich zaczynają teraz artyści-witrażyści nawracać na właściwą drogę, wytkniętą w zaraniu tej sztuki przez nieznanych jej twórców.

Na tle tych poczynań musimy dojść do wniosku, że witraż nie jest częścią malarstwa, że jest sztuką monumentalną, samą w sobie, ściśle wiążącą się z architekturą, której dominującym czynnikiem musi być koloryt witrażu, a nie rzemieślnicze wykończenie zbędnych szczegółów.

Bliska jest już może chwila, że narodzi się nowy styl w architekturze. Wtedy w oknach tych pięknych gmachów przyszłości zaświeci żywa tęcza na stałe zaklęta w witrażu.

Lech Sawicki

„EWANGELIE APOKRYFICZNE"

O ile biograf Chrystusa ma właściwie prawo, żeby radykalnie odrzucić „Apokryfy", tak mała jest szczypta informacji, jakie wnoszą na uzupełnienie Nowego Testamentu, o tyle historyk Kościoła, a nawet historyk cywilizacji zachodniej, nie może ich pominąć. Wycisnęły one swoje piętno zarówno na obyczajach, jak na liturgii, na literaturze i sztuce. Wielu z tych, co nigdy nie przeczytali ani jednej linii Apokryfów, zdziwiłaby wiadomość, że te czy inne zwyczaje, te czy inne tradycje, najczcigodniejsze na pozór, nie mają innej podstawy pisanej, jak tylko owe teksty podejrzanego autoramentu.

Wobec poetycznego żłóbka naszych wigilii, komuż przyjdzie na myśl dochodzić, czemu miejsce, dokąd bieżą pasterze, jest grotą, podczas kiedy św. Łukasz mówi jedynie o stajni; czemu wół i osioł są nieodzownymi aktorami sceny, skoro milczą o nich wszystkie cztery Ewangelie? Któż myśli, na widok koron zdobiących czoła Trzech Króli, że św. Mateusz nie wymienia wcale ich królewskiej godności, ani ich tradycyjnych imion Kacper, Melchior i Baltazar? Jeszcze dziwniejsza rzecz, kalendarz liturgiczny, gdy mu się dobrze przypatrzeć, roi się od podobnych zagadek. Skąd wiadomo, że rodzice Marii nazywali się Joachim i Anna? Że ofiarowanie małej Dziewicy w świątyni otoczone było ceremoniałem, który tak pięknie oddał Carpaccio, a którego pamiątkę nosi święto 21 listopada? A nawet, zanim niedawne ustanowienie dogmatu wniosło to pomiędzy prawdy wiary, któż spośród katolików mógłby powiedzieć, na jakich tekstach opiera się święto 15 sierpnia, które obchodzą od wieków z miłością, święto Wniebowzięcia Matki Bożej?

Na takie właśnie pytania — a jest ich jeszcze dużo — odpowiadają Apokryfy na swój sposób, na sposób nieco dziwaczny i zbijający z tropu. To wystarczy jednak zupełnie, żeby nie pozostawiać ich dłużej w zapomnieniu, gdzie drzemią od końca średniowiecza. Wilcze to pędy wśród krzewów różanych Kościoła, ale ich płodność i tęgość świadczy przecież także i o mocy chrześcijańskiego nasienia, o jego niewyczerpanym wzroście.

Na cóż więc czytać tę mętną gmatwaninę, wydawać ją na nowo? Bezsprzecznie, największą zasługą Apokryfów jest to, że dają nam pojęcie o chrześcijaństwie ludowym pierwszych czasów, że pozwalają nam przeniknąć w samą głąb duszy, naiwnej i żarliwej, owych gmin nędzarzy, którzy z taką miłością powitali Dobrą Nowinę. Nawet przez swoje pomyłki, niedokładności, przez dziecinną skłonność do przesady, dają nam one poczucie przeobrażeń, jakim musiały podlegać środowiska, dla których objawienie ewangeliczne przychodziło w porę, by zaspokoić niejasne i często bolesne oczekiwanie, dla których pożądanie sprawiedliwości społecznej zlewało się w jedno z pożądaniem zbawienia duchowego. W tym sensie są one uzupełnieniem wielkich kronik tamtych czasów, jakimi są listy Pawłowe i Dzieje Apostolskie; do zasadniczych danych dorzucają wszelkie rozmaitości, echa, plotki. Zdarza im się nawet przekazać szczegóły obyczajów religijnych, jak na przykład, kiedy ukazują zwyczaj udzielania sakramentów Chrztu i Eucharystii w tych najpierwszych gminach.

Niektóre z nich odpowiadają nawet stwierdzeniom dogmatycznym, które są dziś do wierzenia podane. Tak więc nieprzerwane Dziewictwo Marii głoszone było przez wiele z tych tekstów w kategorycznych słowach, wyprzedzających wszystkich nowoczesnych teologów. Drażliwy epizod z położną, w umyśle poczciwego narratora **Ewangelii Bożego Narodzenia** nie ma innego celu, jak tylko dowieść niezbicie cudownego faktu; jedna z postaci opowiadania wykrzykuje: „Dziewicą poczęła, Dziewicą porodziła, Dziewicą pozostała", co odpowiada bardzo dokładnie definicji nienaruszonego Dziewictwa, którą podaje Kościół: **ante partum, in partu, post partum.**

Tak więc elementy dogmatyczne, całkiem obowiązujące, znajdują się w Apokryfach; czy ma to znaczyć, że Kościół zaczerpnął je stamtąd? Oczywiście nie. Należy co do tego unikać dwu błędów jednocześnie: pierwszego, który polega na odrzuceniu wszystkich Apokryfów w całości i uważaniu za fałszywą każdej informacji, ponieważ jest przez nie przytoczona, i drugiego, który przeciwnie, ma pretensję, żeby w nich się dopatrywać źródeł instytucji i dogmatów Kościoła. Ten drugi błąd skłonni są popełniać stronnicy „wolnej" krytyki, dla których dogmaty, jak Wniebowzięcie Dziewicy albo Jej Niepokalane Poczęcie, nie mają innych początków. Kościół katolicki rozumuje inaczej; tradycje ludowe mogły były zachować mniej lub więcej zniekształcone wspomnienia pewnych prawd historycznych i doktrynalnych, które nie znalazły miejsca w Piśmie Świętym, ale które Kościół zachował w swym łonie. Apokryfy przechowały pewne, mniej lub więcej czyste, elementy tych prawd, ale ustanowienie tych ostatnich nie opiera się bynajmniej na tekstach apokryficznych. Należy je sądzić z punktu widzenia autentycznej Tradycji Kościoła, takiej, jaka powoli i roztropnie ustaliła się według prawa o pogłębianiu i rozwijaniu się dogmatów, które jest tak ważne w historii Kościoła. Apokryfy zaś nie są bynajmniej na miarę, żeby je można zestawiać z Tradycją.

(Fragmenty wstępu Daniel-Ropsa do „Evangiles Apocryphes", Paris 1952.)

JAN WEPSIĘĆ

AMERYKAŃSKIE BOŻE NARODZENIE

W Stanach Zjednoczonych trzeba mówić nie o święcie Bożego Narodzenia, ale o wielu świętach, po prostu o Bożych Narodzeniach i to zarówno, kiedy myśli się o dzisiejszych świętach, jak i kiedy śledzi się historyczny rozwój folkloru tego święta. Geografia i historia folkloru tego święta w tym kraju, to w pewnym sensie historia i geografia kolonizacji, immigracji i migracji. Grupy etniczne przynosiły zawsze ze sobą oprócz ubogiego sprzętu, który się szybko i tak doszczętnie zużywał, że go niewiele zostało w różnego rodzaju muzeach — narodowe sposoby życia, z których pewne zwyczaje utrzymały się poprzez stulecia.

Pierwsze święta Bożego Narodzenia, jeśli jeszcze nie na kontynencie amerykańskim, to na jednej z wysp amerykańskich, obchodził Krzysztof Kolumb w r. 1492. Okręt jego, owa 120-tonowa „Santa Maria" osiadł w wigilię Bożego Narodzenia późną nocą na mieliźnie u brzegów Haiti. Indianie z wyspy przyszli Kolumbowi z pomocą, wysłali łodzie, na których w ciągu nocy przewieziono na ląd mienie z unieruchomionego statku. Po tak pracowitej nocy trudno było mówić o wesołych świętach. Ale już następnego dnia wódz tamtejszego szczepu indyjskiego odwiedził Kolumba na drugim jego statku „Nina", a następnie zaprosił go na przyjęcie u Indian na lądzie, gdzie Kolumb i Indianie obdarowali się nawzajem. Kolumb widział w tym wszystkim zrządzenie Boże, z resztek okrętu wybudował małą fortecę w ciągu dziesięciu dni i nazwał ją „Natividad", od hiszpańskiej nazwy Bożego Narodzenia.

Nie lepsze, ale znacznie gorsze święta czekały na szereg następnych wypraw hiszpańskich, które dotarły już do lądu amerykańskiego i, przemierzając Nowy Meksyk i Florydę, próbowały założyć Nową Hiszpanię.

W przeszło sto lat później po Kolumbie, bo w r. 1604 De Monts z grupą Francuzów wylądował na północno-wschodnim wybrzeżu dzisiejszych Stanów Zjednoczonych, niedaleko od ujścia rzeki Św. Wawrzyńca. Koloniści wybudowali kapliczkę w stosunkowo krótkim czasie, w której w dniu Bożego Narodzenia tego roku zostało odprawione nabożeństwo. Resztę dnia spędzono na zabawach i rozrywkach, takich samych, jakie znała ówczesna Francja. Koloniści francuscy pielęgnowali swe narodowe zwyczaje świąteczne w osiedlach daleko w głąb kraju rozciągniętych wzdłuż rzeki Św. Wawrzyńca, jak o tym informuje „Dziennik Jezuitów", zapoczątkowany w pierwszej połowie 16 stulecia.

◆

W tym samym czasie, to jest z końcem 16 i na początku 17 stulecia, Holendrzy kolonizowali wyspę Manhattan, na której leży dzisiaj Nowy Jork. Ci protestanci przybyli tu z wizerunkiem św. Mikołaja. Pod jego wezwaniem wybudowali pierwszy kościół i kładli fundamenty nie tylko pod Nowy Amsterdam, jak się wówczas nazywał Nowy Jork, ale i pod Nowe Niderlandy. Dobrze zarabiając na handlu z Indianami, Holendrzy obchodzili święto Bożego Narodzenia, swój Kersdag, bardzo uroczyście, hucznie, z zabawami. A że ich opiekun, św. Mikołaj, był rozdawcą darów jeszcze w Europie, jego rola w bogatej kolonii szybko wyrosła do naczelnej w folklorze świątecznym. Nowy, dzisiejszy typ postaci św. Mikołaja w Ameryce wykształcił się właśnie w tym środowisku. Pewne wyobrażenie, jak mieszkańcy N. Jorku obchodzili Boże Narodzenie, może dać fakt, jaki miał miejsce w 19 w., kiedy jednego roku czynności rady miejskiej i sądu zawieszono w związku ze świętami na okres pięciu tygodni.

Angielski zwyczaj obchodzenia świąt przynieśli ze sobą kolonizatorzy, którzy pod kierownictwem kapitana Johna Smitha osiedlili się w r. 1607 w Jamestown, w dzisiejszej Virginii. Pierwsze święta spędzili bardzo powszednio, bo kapitan Smith był w niewoli u Indian, a nieliczna grupa osiedleńców bez kobiet niewiele mogła przyczynić się do urozmaicenia święta. Znacznie weselsze były święta w latach po r. 1609, kiedy pierwsze kobiety przybyły do osady.

Niektóre ze świąt mężczyźni tej osady spędzali poza kolonią, bo zima była okresem utarczek z plemionami indyjskimi. Wspomniany założyciel tej kolonii ostatnie święta Bożego Narodzenia w swym życiu spędził na takiej wyprawie, o której zapisał w swym dzienniku, że jakkolwiek było zimno, a deszcz i wiatr były wyjątkowe, to było wbród dobrego chleba, dzikiego ptactwa, ryb, ostryg i dodał, że nigdy w życiu prawdopodobnie nie byli bardziej weseli i nie mieli lepszych świątecznych ogni, nawet w Anglii. Wśród mieszkańców tej kolonii przeważali wierni kościoła anglikańskiego wychowani i przywiązani do angielskich zwyczajów Bożego Narodzenia. Zrozumiałe więc, że domy i kościółek w tej kolonii, a z czasem i w innych osadach, zdobiono zielenią w okresie świąt i zapraszano krewnych i znajomych. Słowem kontynuowano tradycje elżbietańskich świąt. Jasne, że prymitywizm życia kolonialnego nie sprzyjał przeszczepieniu przedstawień świątecznych, czy Lord of Misrule, pana nieładu. Ale i mimo tego Virginia różniła się pod tym względem zasadniczo od kolonii w Nowej Anglii, gdzie nie obchodzono świąt Bożego Narodzenia w ogóle. W czasach niewolnictwa Murzynów w tym kraju święta Bożego Narodzenia były jedynym okresem wypoczynku dla służby.

W trzynaście lat później, to jest w roku 1620, do brzegów dzisiejszego stanu Massachusetts w Plymouth przybił 120-tonowy „Mayflower" z grupą ludzi, którzy przeszli do historii emigracji w Ameryce pod nazwą ojców pielgrzymów, The Pilgrim Fathers. Pierwsza grupa dwudziestu ludzi zeszła ze statku na ląd właśnie w dniu Bożego Narodzenia, by rozpocząć budowę domu, ktory by służył na początku na wspólne potrzeby kolonizatorów. Brewster, ojciec duchowy tej grupy, zaprosił jeszcze tego dnia wodza miejscowego plemienia Indian, by odwiedził statek. Ten przyjął zaproszenie i z dwoma żonami, sześciu chłopcami i dziewczętami umalowanymi i przybranymi w pióra, przybył na statek. Z tej okazji Brewster wydał jedną beczkę piwa dla ludzi na statku. Nie było jednak powszechnej, świątecznej radości wśród przybyłych kolonizatorów. Była to bowiem grupa złożona z separatystów religijnych o sympatiach kalwińskich, którzy nie uznawali żadnego innego święta oprócz niedzieli i nie znajdywali w Piśmie św. żadnego uzasadnienia na obchodzenie Bożego Narodzenia. Przybywszy tu na ziemię wolną od ludzkiego prawa, chcieli stworzyć takie formy życia zbiorowego, które — ich zdaniem — zabezpieczałyby ich przed jakimkolwiek złem a zapewniały pewną realizację Słowa Bożego w życiu Do tego nowego sposobu życia postanowili naginać wszystkich, którzy by zamieszkali na terenie kolonii. Toteż kiedy w roku następnym nowa grupa kolonistów na statku „Fortune" przybyła do Plymouth, zarządzenie o nieobchodzeniu świąt Bożego Narodzenia stosowało się i do niej.

Gubernator Bradford opowiada, że polecił pracować wszystkich ludziom w dniu Bożego Narodzenia. Ostatecznie zezwolił pozostać w domach tym z nowoprzybyłych, którzy usuwali się od pracy, uzasadniając to względami przekonań religijnych, które nie pozwalają pracować w tak ważnym dniu. Kiedy jednak pracujący, wracając w południe do osady, zastali tych świętujących, grających na ulicy w piłkę nożną, wywołało to oburzenie u ogółu, że gubernator polecił zabrać im piłkę i wytknął niekosekwencję, bo jakże można usuwać się od pracy, uzasadniając to względami sumienia, a równocześnie grać w piłkę?

Ta niechętna postawa wobec świąt Bożego Narodzenia nie tylko utrwaliła się z czasem, ale kiedy purytańska kolonia w Boston, założona w r. 1630 uzyskała wpływ na Plymouth i inne ośrodki w Massachusetts, stanowe ciało ustawodawcze uchwaliło w r. 1659, że święto Bożego Narodzenia nie może być obchodzone, a kto by je obchodził, unikał pracy w ten dzień czy pościł, temu groziła grzywna w wysokości 5 szylingów. Ustawa ta obowiązywała prawie dwa wieki, bo zniesiono ją dopiero w r. 1856, kiedy dzień 25 grudnia uznano jako dzień wolny od zajęć w szkołach, urzędach, zakładach pracy, bankach, to jest po prostu uznano ten dzień jako bank holiday a nie jako święto kościelne.

Kiedy w stanie Massachusetts, czyli jak wtedy mówiono, w Nowej Anglii (pojęcia te nie były jednoznaczne terytorialnie w pewnych okresach historycznych) ustalił się purytański teokratyczny ustrój, mogli tam osiedlać się tylko ci, którzy całkowicie i bez żadnych zastrzeżeń podporządkowali się purytańskim przepisom. Za uchybienia płaciło się głową, grzywną lub wygnaniem. Kwakrzy, zwani dzisiaj w Ameryce przyjaciółmi, Friends, którzy także nie obchodzili świąt Bożego Narodzenia, byli pierwszymi, których taki los spotkał. Wygnani, osiedlali się na Long Island, w rejonie dzisiejszego Wielkiego Nowego Jorku i w Pennsylwanii.

◆

Katolicy, którzy opuszczali Anglię po roku 1636, nie mogli osiedlać się w purytańskim Massachusetts, nie chcieli w anglikańskiej Virginii i dlatego kierowali się głównie do stanu Maryland, na który katolik lord Calvert uzyskał przywilej kolonizacyjny.

◆

Oczywiście, że to ogólne wskazanie głównych ośrodków osiedleńczych w Nowym Świecie w początkach 17 wieku jest dalekie od pełnej mapy kolonizacji. Z ważniejszych trzeba wyliczyć jeszcze szwedzkie i holenderskie kolonie w Delware i Baltimore i francuskich hugenotów w Karolinie. Ale już ten ogólny zarys ukazuje całą wprost mozaikę narodowościową i religijną Nowego Świata. Gdy chodzi o folklor świąt Bożego Narodzenia, to jest on różnorodniejszy od folkloru narodowościowego, bo podział religijny w grupie angielskiej był bardzo głęboki, czyniąc z niej wyraźne podgrupy: purytańskie, kwakrowskie, anglikańskie i katolickie. Tylko purytanie i kwakrzy, najbardziej ekspansywni wówczas, nie obchodzili świąt Bożego Narodzenia.

Ta mozaika urozmaicała się jeszcze bardziej w wieku 18, kiedy silna fala Niemców napłynęła do Pennsylwanii, a szczególnie w wieku 19, kiedy obok Irlandczyków, Włosi i grupy etniczne słowiańskie wysunęły się na czoło w nieprzerwanym strumieniu immigracji do Nowego Świata.

◆

Ale w 19 w. rozpoczął się proces scalania folkloru, powiedzmy wytwarzania się amerykańskiego folkloru świąt. Pierwszym zewnętrznym wyrazem tego procesu było uznanie świąt Bożego Narodzenia przez purytan, kwakrów i metodystów, którzy dawniej nie obchodzili świąt Bożego Narodzenia. Nie miejsce tu wchodzić w szczegóły tego socjologicznego procesu, którego pra-



wnym wyrazem była wspomniana już ustawa z r. 1856. Wspomnieć jednak trzeba, że proces ten nie dokonywał się łatwo. Metodyści, kwakrzy i purytanie, cofający się pod naciskiem, starali się zmienić charakter przyjmowanego święta. Raził ich świecki, rozrywkowy jego charakter. Przyjmując je, starali się je związać bliżej z potrzebami życia zbiorowego, jak pomoc dla biednych w kraju, czy dotkniętych zniszczeniem wojennym w innych krajach. Dlatego dążono, by przyjemność towarzyszącą otrzymywaniu darów przekształcić w przyjemność obdarowywania. Drzewko świąteczne stawało się w ten sposób symbolem obdarowywania potrzebujących.

Dodać trzeba, że niektóre grupy religijne, jak metodyści, obchodzą religijne święto Bożego Narodzenia nie w dniu 25 grudnia, lecz w najbliższą niedzielę, kiedy kazania są poświęcone faktowi narodzenia się Jezusa.

◆

W wyniku tego długiego procesu Ameryka dzisiejsza w stosunkach pomiędzy grupami etnicznymi czy religijnymi obchodzi jedno „oficjalne" święto Bożego Narodzenia. Główne cechy tego ponadwyznaniowego święta są następujące: 1) wysunięcie się na miejsce naczelne postaci św. Mikołaja, 2) darów związanych z tą postacią, 3) drzewko, 4) kolędy, 5) kartka świąteczna i 6) herbatka świąteczna, czyli t. zw. Christmas party.

Postać św. Mikołaja tak dużą odgrywa rolę, że jest jednym z głównych zewnętrznych elementów kolorytu świątecznego. Mimo woli nasuwa się pytanie, jak do tego doszło. Była to postać znana wszystkim prawie grupom osiedleńczym, ale rolę szczególnie ważną zajmowała w folklorze Holendrów w Nowym Jorku, nie tylko jako rozdawca darów, ale także jako stały patron. Środowisko to wysunęło postać św. Mikołaja na miejsce naczelne i równocześnie wykształciło jej nowy typ. Twórcą, czy lepiej powiedzieć wyrazicielem w formie literackiej, tej amerykańskiej, a dziś już i angielskiej koncepcji św. Mikołaja był Clement Moore, profesor języka greckiego i hebrajskiego w The Union Theological Seminary w Nowym Jorku. Napisał on dla swych dzieci w r. 1822 poemat „Odwiedziny św. Mikołaja". Utwór został opublikowany, choć autor, szanujący się profesor, nie zdradził swego autorstwa, bo sądził, że profesorowi na takim stanowisku nie wypada pisać wierszy. Przedstawiony przez Moore'a św. Mikołaj, to nie ten święty na koniu, znany na kontynencie europejskim. W wizji Moore'a św. Mikołaj jeździ na sankach zaprzężonych w osiem reniferów. Jest ubrany w futro. Ma okrągłą pulchną twarz, czerwone policzki, białą brodę. Trzyma w zębach fajkę, z której dym unosi się białym wieńcem wokół jego głowy. Jadąc w szalonym pędzie, wrzuca dary dla dzieci przez kominy domów. Ten poemat podsunął Thomas Nastówi, — temu samemu, któremu ten kraj zawdzięcza słonia jako symbol partii republikańskiej, a osła, jako symbol partii demokratycznej — myśl do rysunku św. Mikołaja. Poemat i rysunek upowszechniły nowy typ postaci św. Mikołaja. W tej nowej postaci wrócił on do Europy i zadomowił się przede wszystkim w Anglii. Wygląda to tak, że ten dobroduszny święty był jednym z tych szczęśliwych immigrantów, któremu udało się przehandlować konia na sanki i osiem reniferów, dobrze się ubrać i odżywić a następnie jako nowobogacki wrócić do Europy, z gestem bogatego wujaszka i dużym zaufaniem w siebie.

Pewną miarą popularności postaci św. Mikołaja w tym kraju może być taka prosta informacja, że jeszcze w latach trzydziestych tego stulecia produkcja samych jedynie materiałów na wąsy i brody wyrażała się kwotą 300 tysięcy dolarów w jednym okresie świątecznym.

◆

Z postacią św. Mikołaja są ściśle związane dary. Niezależnie od grzecznościowych podarunków w obrębie rodzin, wśród znajomych, różnego rodzaju instytucje religijne, charytatywne i społeczne prowadzą wzmożoną akcję pomocy dla ludzi, którzy znaleźli się w trudnym położeniu. Akcja pomocy bliźniemu, bez względu na jego przekonania, nie jest może nigdy pojęta tu głębiej i szczerzej jak w okresie świąt. Jest to ten kwakrowski strumień, który przynosi radość nie z otrzymywania darów, lecz z obdarowywania i pomocy potrzebującym.

W ślad za ludźmi miłosierdzia i miłości bliźniego idzie układny business, ofiarowując każdy przedmiot — łącznie z lodówką i maszyną do prania — jako odpowiedni na świąteczne podarunki. Stosownie do ogłoszeń, wszystko może być podarunkiem; wszystko było przedmiotem podarunków od wielu lat, jeśli nie od stuleci, z tą tylko różnicą, że wszelkie podarunki są w tym roku tańsze, mimo wzrastających kosztów produkcji, i lepsze w porównaniu z tym, co kiedykolwiek było na rynku. Wniosek podsuwany kupującemu bardzo prosty: jeśli, bracie, kupisz, wesołe święta zapewnione.

◆

Drzewko, to inna cecha świąteczna. Zwyczaj przyniesiony przez niemieckich kolonistów został powszechnie przyjęty. Zajmuje ono ważne miejsce w dekoracyjnej stronie świąt nie tylko w domach prywatnych, ale w szkołach, urzędach, stacjach autobusowych i kolejowych, bankach, większych sklepach i fabrykach. W Nowym Jorku na Madison Square ustawia się każdego roku drzewko, które od wigilii Bożego Narodzenia do końca grudnia staje się ośrodkiem różnego rodzaju uroczystości. W New Hampshire wokół drzewka w budynku magistratu składa się podarki dla potrzebujących ludzkiej pomocy. Podobne uroczystości już od pół wieku prawie mają miejsce w San Francisco. W Waszyngtonie w ogrodzie Białego Domu, siedzibie prezydenta Stanów Zjednoczonych, jest również urządzane drzewko. Prezydent Stanów zapala je w wieczór wigilijny, przesyłając narodowi świąteczne życzenia.

◆

Kolędy zyskują na popularności z każdym rokiem w Ameryce. Rośnie liczba kolęd śpiewanych, szczególnie kolęd dawnych. Zwyczaj zbiorowego śpiewania kolęd przyjmuje się w coraz to nowych miejscowościach. Statystyka zestawiona przez National Bureau for Advancement of Music wykazała, że tak zwane community singing było zorganizowane tylko w 30 miastach w r. 1918; następne zestawienie z roku 1928 wyrażało się już liczbą 2.025 miejscowości. Zespoły kolędników w wielu miejscowościach odwiedzają z pieśnią domy starców, sierot, obozy wojskowe. W Nowym Jorku od szeregu lat są urządzane koncerty kolęd w Parku Głównym, Central Park. Chóry szkolne, wybitni śpiewacy i orkiestry biorą w nich udział. Idąc na taki koncert w mroźny, grudniowy wieczór, doznaje się dziwnego wrażenia. Nad Parkiem i miastem zwisa ciemnobłękitna kopuła wygwieżdżonego nieba, poszarpana na brzegach ciemnymi masywami drapaczy chmur, opasanych tu i tam wieńcami świetlnych ogłoszeń. Ponad Parkiem unosi się melodia „Cichej nocy, świętej nocy", idzie w miasto i wraz z gwarem życia stapia się w melodię świąteczną.

◆

Kartka świąteczna, z pochodzenia angielska, licząca nieco więcej niż sto lat jako zwyczaj społeczny, ma miejsce bardzo poczesne. Rozpowszechniona w Ameryce głównie w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia przez niemieckiego uchodźcę politycznego Louis Prangle, wyrosła w ważny element folkloru świątecznego i obok kolorowych, tekturowych postaci św. Mikołaja stała się przedmiotem ważnym na rynku. Według obliczeń amerykańskiego związku wydawców, kartek okazyjnych w r. 1952 sprzedano około 1.500.000.000, co detalicznym sprzedawcom przyniosło sumę około 110 milionów dolarów.

◆

Amerykańskim z pochodzenia elementem w folklorze świątecznym jest świąteczna herbatka, tak zwana Christmas party, organizowana w wigilię Bożego Narodzenia przez fabryki dla swych robotników, sklepy, różne firmy prywatne i urzędy państwowe. Różnica między nimi tylko ta, że pracownicy agencji i urzędów państwowych sami pokrywają koszty jej urządzenia. Jest to skromna herbatka. Po kieliszku czy szklaneczce słabego napiwku, śpiewa się kilka kolęd, wypija się szklankę lemoniady, tańczy się coś z obowiązku i, jeżeli nie zjawi się przez kogoś przyniesiona bardziej pękata butelka, opuszcza się party, by po drodze do domu kończyć zakupy. Przełożeni bezpośredni i pośredni przychodzą zawsze na taką herbatkę. Bez względu na to, jaką o nich mieliby opinię ich podwładni, przechodzą oni wtedy do kategorii: „mimo wszystko, nieźli z nich ludzie".

To są te amerykańskie, jeśli wolno używać obcego wyrazu, standardowe święta, kiedy spotykają się ze sobą grupy różne religijnie, etnicznie, społecznie. To są święta oficjalne.

◆

Nieco inny jest charakter świąt w stanach południowych, gdzie ludzie lubią hałas, strzelaninę z rusznic, trąbienie w rogi, bicie w dzwony i dzwonki.

◆

Ale oprócz tych ujednoliconych świąt są jeszcze w Ameryce święta w obrębie rodziny, czy tej samej grupy religijnej czy etnicznej. Obchodzą je inaczej Włosi, inaczej Hiszpanie czy Niemcy, inaczej Czesi czy Polacy. Te święta nie kończą się na świątecznym podarku czy kartce. Tchną one bogactwem zróżnicowanych zwyczajów, tradycyjnych potraw, biorą za serce słowami narodowych kolęd. W miejsce ogólno-amerykańskich kolęd, jak „O, come all ye faithful', czy „O little town of Betlehem" śpiewa się u Włochów — „Tu scendi dalle stelle" („Schodzisz w dół z gwiazd") czy „Dormi, non piangere" („Śpij, nie płacz"), u Niemców — „Vom Himmel hoch" („Z nieba wysokiego") czy „Tannenbaum". U Polaków w Chicago, czy w górniczych osiedlach Pennsylwanii, czy dawnym purytańskim Massachusetts, czy na Greenpoint w Brooklynie stół zaściela się niekiedy sianem a po przywitaniu dzieciącia Jezus uroczystą „Wśród nocnej ciszy" przechodzi się szybko do skocznej „Przybieżeli do Betlejem pasterze".

Amerykańskie więc święta są i te, które widzi się na zewnątrz, i te święta w domu, przebogate w zwyczaje przyniesione tu z całego chrześcijańskiego świata i utrzymywane w zaciszu życia rodzinnego.

Jan Wepsięć

Z HOMERA

POCZĄTEK ILIADY

Gniew Achillesa, syna Peleja, opiewaj, bogini,
Gniew złowrogi, co krocie klęsk na Achajów sprowadził,
Wiele potężnych dusz bohaterów w podziemia Hadesu
Strącił, zaś ciała na żer rzucił psom i ptakom-drapieżcom.
Tak swoją wolę spełniał Zeus. A zaczęło się w ów czas,
Kiedy w sporze porywczym stanęli sobie naprzeciw
Mężów pan, Agamemnon Atryda i boski Achilles.

Któryż to z bogów sprawił, że starli się w zwadzie zawziętej?
Syn Latony i Zeusa. Bo ten, zagniewany na króla,
Zesłał na wojsko zarazę morderczą i rzesze ginęły —
Za to, że król Agamemnon znieważył Chryzesa, kapłana.
Chryzes oto podążył do chyżych okrętów Achajów,
By uwolnić swą córkę, a okup przynosił ogromny,
W ręku miał berło złociste zdalekacelnego Apolla,
Na nim girlandy wełniane. I korne zaniósł błaganie
Do Achajów, najbardziej zaś wodzów ich, obu Atrydów:

„Synowie Atreja i inni goleniozbrojni Achaje,
Niech wam pozwolą bogowie, co na Olimpie mieszkają,
Zburzyć Priamów gród i do kraju szczęśliwie powrócić.
Ale zwolnijcie mi dziecko najdroższe i weźcie ten okup,
Przed synem się korząc Zeusowym, zdalekacelnym Apollem."

Wówczas Achajów tłum życzliwym pomrukiem przyświadczał,
By uszanować kapłana i przyjąć okup bogaty.
Lecz obruszył się na to król Agamemnon Atryda,
Który go wygnał okrutnie, te twarde słowa wyrzekłszy:

„Niech cię ja, starcze, nie spotkam tu więcej u wklęsłych okrętów.
Ani mi teraz nie marudź, ani tu później nie wracaj;
Bo nie pomoże ci wtedy Apollina berło czy wieniec.
Ja nie wypuszczę twej córki! O, prędzej doczeka starości
W moim pałacu w Argosie, z daleka od miłej ojczyzny,
Nad krosnami schylona lub łoże moje sposobiąc.
Ty zaś ruszaj, nie drażnij mnie, abyś cało stąd uszedł!"

Rzekł, a przeraził się starzec i króla rozkazu usłuchał.
Kroczył w milczeniu wzdłuż morza, co przewalało się z szumem.
Potem, ustronie znalazłszy, modlitwę zaniósł żarliwą
Do Apollona, potomka Latony o lokach trefionych:

„Słysz, srebrnołuki, me modły, o ty, co otaczasz swą pieczą
Chryzę, Killi świętej patronie i władco Tenedu!
O Smintejczyku, jeżelim ci kiedy chram wdzięczny zbudował,
Jeślim ci tłuszczem kapiące na zbożne palił ofiary
Udźce byków czy kóz, wysłuchaj mego błagania:
Ukarz, o boże, Danaów za łzy moje twymi strzałami!"

Tak oto modlił się Chryzes. Wysłuchał go Fojbos Apollon:
Ruszył z wierzchołków Olimpu, a serce mu gniewem płonęło,
Łuk na ramionach unosił i kołczan w okół zamknięty.
Strzały mu z barków, gniewnemu bogu, dzwoniły rozgłośnie
Wraz za każdym krokiem; on szedł zaś do nocy podobny.
Przysiadł następnie opodal okrętów i pocisk wypuścił:
Brzęk się rozległ posępny z cięciwy łuku srebrnego.
Najpierw muły poraził Apollon i psy śmigłonogie,
Potem zasię na mężów swój grot skierowawszy niechybny,
Bił; a gęste wnet stopy z trupami płonąć poczęły.

Przełożył z greckiego
Ignacy Wieniewski

WACŁAW GRUBIŃSKI

MIŁOŚĆ LEONARDA

(NOWELA)

— Buonarroti? Szczęśliwy! Jemu wystarcza, że wie. Mnie to nie wystarcza.

— Czegóż ty chcesz więcej?

— Chcę rozumieć.

— Wiedzieć i rozumieć, czy to nie to samo?

— Co innego, Lizo! Wiem, że cię kocham, ale nie rozumiem, że cię kocham.

— Jeśli wiesz, to rozumiesz.

— Wiem, że widzę, lecz nie rozumiem widzenia. Czym jest widzenie? Kocham cię i nie wiem, czym jest miłość.

— Jeżeli kochasz...

— Kocham, wiem, że kocham i nie rozumiem miłości. Dlaczego mi jesteś tak droga? Dlaczego wydajesz mi się piękniejsza, niż piękniejsze od ciebie? Dlaczego na myśl o tobie zmienia się moja natura? Jak gdyby w jednej chwili następowało przebudowanie mego mózgu, mojego serca?... Staję się inny. Dlaczego?

— A... stajesz się inny?

— Tak, Lizo. Wciąż będąc sobą, staję się innym sobą przez miłość, która mnie napełnia.

— Uczucie nie po to w nas istnieje, żeby je rozumieć. Wystarcza je posiadać, czyli o nim wiedzieć.

— Szczęśliwy Michał Anioł! Kiedy w nim nastaje wizja malarska, czy rzeźbiarska, on chwyta jej piękno i oddaje w dziele sztuki, nie starając się zrozumieć, dlaczego to piękno jest piękne! Dlatego maluje prędko. Ja, budując dzieło sztuki, jednocześnie ogłaszam prawodawstwo, na którym się to dzieło opiera. Dlatego maluję wolno. Buonarrotiemu wystarcza samo dzieło sztuki.

— Buonarroti równie jest pewny prawomocności swego dzieła, jak ty swego.

— To prawda. Gdy dotrę nareszcie do... do zrozumienia, widzę, że nic mi z tego zrozumienia. Nie ze zrozumienia powstaje dzieło sztuki. Nasycam swój głód zrozumienia i coraz jaśniej rozumiem, że tego głodu nasycić nie można. Bo nie rozumieniem da się świat wyczerpać. Nie wyczerpałem przecież mojej miłości dla ciebie przez to, że bym ją zrozumiał! Twój portret, który od czterech lat maluję, dlatego wciąż jest nieskończony, że szukam w nim zrozumienia mojej miłości dla ciebie, zrozumienia czegoś, nie podlegającego zrozumieniu.

— I ja cię kocham, Leonardo, ale nie myślę, żeby z miłością było do zrobienia jeszcze coś poza nią samą. Miłością się kocha, nic więcej się nią nie robi.

— Co dzień po kilku godzinach twoja służba zabiera cię ode mnie do pałacu twego męża.

— Co dzień się dziwię, że masz co dzień przy pożegnaniu smutne oczy. Mój pan małżonek mnie zabiera, ale nie jest w stanie zabrać razem ze mną mojego uczucia dla ciebie.

— Wstępujesz do lektyki. Wydaje mi się, że zły czarownik co dzień zabiera mi mój skarb w szkatule, niesionej przez pachołków.

— I co dzień ci zwraca skarb w całości. Czarownik, mimo wielkiej swojej władzy, nie może naruszyć twego skarbu.

— A jednak nim włada.

— Pozornie. Inaczej.

— Co dzień cię tracę, Lizo. Dla niego.

— I on mnie traci co dzień dla ciebie. Pozwól mu na przebywanie ze mną, skoro on na to samo pozwala tobie.

— Nie rozumiem, jak możesz...

— Nie trzeba, żebyś rozumiał. Co ci po rozumieniu, Leonardo? Przeżyliśmy razem cztery lata...

— Każda chwila, przeżyta z tobą, posiada dla mnie wagę wieczności.

— Co to jest wieczność?

— Wyjście poza pragnienia. W obcowaniu z tobą odbywa się we mnie cud osiągania granic nieskończoności. Bo nieskończoność tkwi w uczuciu. W uczuciu, nie tkniętym przez myślenie. Wieczność nie mieści się w rozumie. Czy możesz objąć rozumem wieczność, nieskończoność? Ale obejmiesz je łatwo uczuciem. Nie zaszczepiaj promienia myśli na promieniu miłości; nie dochowasz się słodyczy z tej hodowli.

Leonardo zapatrzył się w mówiącą. W prawej ręce, przez pół opuszczonej, trzymał paletę, w lewej, wzniesionej ku obrazowi, niósł długi pędzelek o szpiczastym włosiu.

W obocznej komnacie za zamkniętymi drzwiami grano na lutniach i na cytrach, co się tu wydawało prawie przelewaniem wody przez dźwięczne naczynie ze szkła, czy kryształu.

— Jesteś niepochwytna — powiedział Leonardo. — Nie mogę cię określić nie tylko słowami; nie mogę cię wyrazić rysunkiem i barwą. Jesteś płynna, jak rzeka, nieograniczona, jak uczucie. Dlatego w mojej miłości dla ciebie tyle jest tęsknoty.

— Ja cię lepiej kocham, Leonardo, bo nie tęsknię za tobą.

— Cóż w tym lepszego? — uśmiechnął się artysta.

— Nie tracę czasu na tęsknotę, po prostu kocham cię i wówczas!

— W tęsknocie jest miłość, pomnożona przez trwogę.

— Zepsuta przez trwogę. Zakażona przez chwilowość.

— Jak to?

— Miłość to wieczność. Jeżeli mnie kochasz naprawdę, będziesz mnie kochał nawet po mojej śmierci. Tęsknota się wywodzi z doczesności. Nie przerywaj wieczności przez wprowadzanie w nią doczesności.

Leonardo siadł na poduszkach u stóp Mony Lizy.

— Nigdy cię nie przestanę kochać, ale nie widzieć cię byłoby dla mnie tym samym, co oślepnąć. Jesteś największą radością moich oczu.

— Wiem, że wzrok nazywasz zmysłem najdoskonalszym.

— Odchodząc ode mnie, zabierzesz mi oczy. Oczy, które się zaczynają w sercu.

— Nie rozumiem cię, Leonardo. Moja miłość dla ciebie wzbogaca właśnie wszelkie moje doznanie, płynące ku mnie ze świata. Kiedy oglądam z daleka od ciebie ogromność morza, piękność gór, wspaniałość słońca o zachodzie, miłość moja dla ciebie w tych nowych wzruszeniach pogłębia moją chłonność. Miłość jest radością. Jakim sposobem dobywasz z niej smutek? Nawet mój pan małżonek, którego nie kocham, wydaje mi się miły przez to, że kocham ciebie.

— Oh, Lizo, Lizo!

— Nic mnie nie zdoła zasmucić, od kiedy wstąpiłam w miłość. Gdybyś mnie nawet ty, mój Leonardo, porzucił, pewnego dnia przez czary odmieniony, nawet, nawet wowczas nie opuściłaby mnie radość, którą poznałam przez miłość dla ciebie!

W tej chwili zapukano do drzwi niegłośno, lecz niecierpliwie. Liza i Leonardo spojrzeli po sobie ze zdziwieniem. Otwarłszy drzwi, Leonardo ujrzał swego pacholika. Ten zaraz powiedział głosem przyciszonym:

— Pan Gioconda zbliża się ku nam od strony placu.

— Dobrze, Giovanni. Powitaj go na dole i wprowadź tu, gdy przyjdzie.

Uśmiechnąwszy się szeroko, chłopiec skoczył ze schodów.

— Rzadki gość — rzekł Leonardo, wracając na środek pracowni.

— Francesco?

— Ślicznie ci w tym niepokoju, którym się nagle opromieniłaś. W chwili obawy kobieta się nieświadomie broni wzmożeniem swej urody.

— Nic mi nie grozi, Leonardo.

— Połóż mi dłoń na czole. Pragnę czuć długo to dotknięcie po twoim odejściu. Zobaczę cię przecież dopiero jutro.

Mona Liza ujęła czoło Leonarda w obie swoje dłonie, kiedy się do niej zbliżył i nieco pochylił.

— Nie lubisz Francesca — powiedziała uśmiechnięta, patrząc w smutne oczy Leonarda.

— Lubiłbym go, gdybyś ty go nie lubiła — odparł Leonardo.

Przylegla policzkiem do twarzy kochanka. Potem nieco odsunęła twarz od jego twarzy i powiedziała z łagodnym wyrzutem:

— O mnie myśl, nie o Francesco.

I dodała:

— Maluj. Niech cię Francesco zastanie przy pracy.

— Te niespodziewane odwiedziny... — zaczął Leonardo i nie skończył. Wpatrzył się w portret Lizy.

— Światło jest żywiołem — rzekł po chwili. — Jak ocean. Większym, niż ocean. I niosącym w swoim łonie bogactwa większe, niż wszystkie głębiny. W morzach się kryją fantastyczne stworzenia, lecz fantastyczności, które ujawnia przelewną toń światła, są nieskończenie obfitsze. Gdybym mógł dotknięciem pędzla ująć tego anioła, który się przeźroczyście przesuwa przez twoje czoło, ma wyciągnięte śliczne rączki, zakończone pazurami, i w oczach ma pazury!

— Co ty mówisz, Leonardo?

— Zniknął.

— O czym ty mówisz, Leonardo?

— Światło daje życie najprzelotniejszym nieprawdopodobieństwom. Teraz znów, spocząwszy na miękkości twojego uśmiechu i na jasności twojego spojrzenia, element światła wydobył ze słodyczy twoich ust i z figlarności twoich oczu element twardy jak skała, powiew egoizmu. W kącikach twoich ust i na dnie twoich oczu tai się mądrość niewzruszona, obojętność.

— Tyle tylko jest we mnie egoizmu, ile go potrzeba na to, Leonardo, żebym mogła być sobą i kochać ciebie. A o mądrości... nie rozumiem, co mówisz o mądrości i obojętności.

— Mądrość doskonała przebywa poza sferą uczucia.

— W takim razie jest nieosiągalna dla człowieka. Osiągnąć możemy to, co nas obchodzi. Obojętni na wszystko, nie dążylibyśmy do mądrości. Jeżeli obojętność jest warunkiem doskonałego wnikania w sens wszechrzeczy, to jednocześnie jest i trucizną, paraliżującą sens tego wnikania.

— Światło, które się zanurza w twoje oczy, zadziwia mnie nową niespodzianką: w tobie obojętność jest uczuciem.

— Leonardo!

Zakołatano do drzwi i zaraz je otworzono.

Na progu stanął człowiek przysadzisty, o głowie zadartej. Ubrany w suknię zieloną z czarnym, na szyi miał złoty łańcuch. Za nim, we dwoje zgięty stał Giovanni.

— Czy wolno? — zapytał patrycjusz Gioconda, uśmiechnąwszy się przyjaźnie i pysznie zarazem. Miał wyniosłość w głosie i prawie zaczepność w postawie. Krótkimi rękoma podparty pod boki, nie przekraczał progu, czekał na zaproszenie.

Leonardo zbliżył się do drzwi bez pośpiechu. Lekko schylony w powitaniu, rzekł dwornie i poważnie.

— Niech wasza miłość raczy... Zaszczyt to dla mnie tym większy, że nie zapowiadany.

— Nie ośmieliłbym się przerywać mistrzowi tak świetnemu...

Gioconda wszedł do izby, skłonił się małżonce z atencją i wesoło, przy czym powiedział:

— Akt adoracji nigdy jeszcze nie zmęczył żadnej niewiasty na świecie. Wyglądasz na tym zydlu ożywiona, jakby w tańcu.

— Rozmawiamy — odparła Mona Liza. — Tyle nowego ma zawsze do powiedzenia mistrz Leonardo!

— Pozwolisz, mości Leonardo, spojrzeć na arcydzieło, którym unieśmiertelnisz moją małżonkę?

— Obawiam się, że wasza miłość nie będzie zadowolony z portretu, w którym nie umiem oddać substancji niewymownego uroku pani del Gioconda.

— Mistrz tak uczony? Po tylu latach?

— Czas niewiele znaczy. Zasada urody waszej małżonki, panie, musi mi się objawić nagle, jak błyskawica. Na tę chwilę czekam przyczajony, uważny, cierpliwy.

— Zasada? Uroku? Na co komu zasada? Mnie wystarcza sam urok. I nawet się nie domyślałem, że urok wypływa z jakiejś swojej zasady. To i miłość według ciebie wypływa może ze swojej zasady? Każda z odmiennej?

Liza się figlarnie uśmiechnęła do swego małżonka. Leonardo udał, że tego nie widzi. A Gioconda, stanąwszy przed Moną Lizą, powiedział rozbawiony:

— Kogo z całujących obchodzi zasada pocałunku? Gdyby ją nawet można było odkryć, na nic by się nikomu nie przydała. W pocałunku obchodzi całującego sam pocałunek, nie jego zasada. W uroku ważny jest sam urok, nie jego zasada. Nie wiem, jak kochali filozofowie, ale nie wydaje mi się, żeby mogli kochać zasadniczo; myślę, że kochali... miłośnie.

— Wszelka harmonia ma swoją zasadę — rzekł Leonardo. — Pragnę odkryć prawa tej niepojętej harmonii, która stanowi urok waszej dostojnej małżonki, panie.

— Pozwól mi spojrzeć na portret.

Leonardo wskazał obraz i cofnął się w głąb pracowni, skąd zaczął patrzeć na swoje dzieło z nowym przypływem uwagi. A Gioconda, stanąwszy przed portretem, zacichł, jakby się nagle znalazł w obliczu objawienia. Stał nieporuszony; za nim nieporuszony stał Leonardo.

Obydwóch obejmowała tym samym spojrzeniem Mona Liza. Uśmiechnięta.

— Jakże to? — zaczął po chwili patrycjusz. — Mówiliście, że nie skończony. Przecież skończony! Przecież ponad miarę, ponad pojęcie ludzkie, nasycony życiem. Esencją życia, potężniejszą niż życie! Doprawdy, Leonardo, jesteś czarownikiem. Aż prawie rzecz przestrasza ogromem skupionego życia. Jakżeście to mogli, nie wyczerpując życia z Mony Lizy? Że nie osłabła, że żyje!

I dodał wpatrzony w obraz:

— Czegóż tu jeszcze wam nie dosyć?

— Jeszcze — powiedział Leonardo — uchodzi mi z dłoni, ucieka, gdy prawie ją trzymam, w ostatniej, najostatniejszej chwili wymyka mi się z rąk, z oczu, z rozumu, tajemnica tej kobiety.

Francesco przymrużył powieki, zezował na Leonarda i rzekł:

— Nie szukaj, czego nie ma.

Gdy Leonardo milczał, zmarszczywszy brwi, wpatrzony w obraz, magnat florencki znowu rzekł z ironią i pobłażliwością:

— Przestań się kochać, mości Leonardo, w mojej żonie, a ujrzysz jak na dłoni, że nie ma w niej tajemnicy.

Leonardo spojrzał na magnata pytająco, ten zaś spokojnie dodał:

— Nie zaprzeczajcie, mistrzu. Cała Florencja o tym mówi.

Uśmiechnął się niby przyjaźnie.

— I sama Liza nieraz mówi mi o westchnieniach waszych, gdy się wieczorem rozszczebiocze przed wejściem do łoża. Nic mi to nie szkodzi, Leonardo, że kochasz to, co ja posiadam. Podoba ci się przecież i mój pałac. Nie przestaje przez to mój pałac być moją własnością. Nasze jest nie to, co kochamy, lecz to, o czym wiemy, że jest nasze. Ja w tym pałacu rządzę i czuję się w nim u siebie.

Dotknął poufale ramienia Leonarda.

— Kochane, lecz cudze... daruj, mości Leonardo, nie ma nic żałośniejszego nad taki stan rzeczy.

Leonardo spojrzał na Monę Lizę, której usta drżały w uśmiechu zakłopotania, potem się wpatrzył w jej portret i, po chwili, powiedział jakby z łagodną wyrozumiałością:

— Ten obraz, mości Francesco, ten portret, zamówiony przez waszą miłość należy do was, będzie wasz, kiedy go skończę. Lecz wasza miłość zawsze będzie mówił o tym obrazie, że to jest obraz mój, Leonarda. Wasza miłość będzie posiadał mój obraz, Leonarda, nie swój. Będzie to wasza własność cudza. Francesco del Gioconda będzie posiadaczem rzeczy nie swojej, własności wieczystej Leonarda z Vinci.

Francesco błysnął oczami i zaraz je zmrużył i rzekł:

— Tak jest z obrazem, mości Leonardo, ale tak nie jest z modelem obrazu. Bo chociaż bije życie z twojego portretu, bardziej jeszcze żyjąca jest moja małżonka. Ma swoją wolę, wybiera i postanawia, nikt jej nie wyręcza w jej postępowaniu. Jest nie rzeczą, lecz osobą. Zezwoliła na to, żebym został jej małżonkiem i podoba się jej ulegać mojej mężowskiej woli. Nie ma przymusu między nami; jest dobra wola jej i moja. W małżeńskich okowach żyjemy przyjemnie i zadowoleni.

Francesco del Gioconda zwrócił powoli spojrzenie ku małżonce. Odpowiedziała mu rozpromienieniem. A pan Gioconda parsknął nagle śmiechem i rzekł do Leonarda:

— Ale, oczywiście, nie dlatego tu przyszedłem, żeby ci, mości Leonardo, o tym powiedzieć. Pragnąłem zabrać portret. Widzę, że skończony i że piękny. A kiedy to widzę, przyznam się wam do... do pewnej tajemnicy. Od niejakiego czasu przygotowuję, Lizo, niespodziankę. Podróż. Wszystko załatwione, Lizo, jutro wyjeżdżamy.

— Dokąd?

— Do Neapolu. Do twoich krewnych, Lizo. Czekają cię zabawy, nowe znajomości. Nie wrócimy do Florencji przed pół rokiem.

Mona Liza rozchyliła usta. Francesco się uśmiechnął, Leonardo pobladł.

— Carlo nam oddaje białą willę, sześć koni, siedmioro służby z Dostiną na czele.

— Ależ... nic nie mówiłeś. Nie można przecież z dnia na dzień...

— Można. W tej chwili pakują twoje suknie.

— Beze mnie? Nikt nie wie, trzeba wybrać...

— Stara Marieta wie lepiej, niż ty sama. Nabyłem nową karocę podróżną, w której się wygodniej sypia, niż w domowym łożu.

— Nie, nie, tak bez namysłu...

— Gdybyś wolała zostać we Florencji, że mistrz Leonardo jeszcze nie pochwycił, jak powiada, tajemnicy twej osobowości, musiałbym jutro sam wyruszyć z miasta, bo do Neapolu wołają mnie pilne sprawy.

Liza zwróciła oczy i uśmiech do Leonarda, który wpatrywał się w portret.

— Ach, Neapol — westchnęła. Francesco znów stanął przy Leonardzie.

— Nie widzę, co by tu mogło jeszcze...

— Spojrzyj, panie, na małżonkę. Najpierw patrząc na nią, a potem przeniósłszy wzrok na obraz, widzi się niewspółmierność.

— Ja nie widzę! Albo raczej widzę odwrotnie, niż sądzisz. Większe skupisko esencji życiowej widzę w namalowanej, niż w żywej.

— Życie, to nie dosyć. Czy zdarzyło wam się, panie, wpatrywać w ognisko? Ognisko można malować bez końca. Portret ognia nigdy nie jest skończony.

Gioconda parsknął śmiechem i podał rękę Lizie, pociągnął ją, żeby wstawała.

— Żegnaj się z mistrzem — rzekł wesoło. — Portret zabiorę nieskończony.

Leonardo przyłożył koniuszek pędzla do portretu, potem cofnął pędzel i powiedział:

— Nie mogę w tym stanie oddać wam obrazu.

Teraz Gioconda przymrużył powieki i z nagłym gniewem, nad którym zaraz zapanował, rzekł niby żartobliwie:

— Nie przypuszczasz chyba, mości Leonardo, że moja małżonka będzie ci pozowała całe życie!

— Jej dobra wola, mości Francesco, i wasza. Ja mówię tylko o tym, co jest moje: o portrecie. Nie oddam ci rzeczy nie skończonej.

Gioconda zmarszczył brwi i zrobił się ciemny na twarzy. W tej chwili na jego ramieniu oparła się tkliwie Mona Liza, zwracając się do Leonarda.

— Nie byłam dawno w Neapolu. Wyznaję, że mnie pociąga ta podróż. Pół roku szybko przeleci.

Grzecznie się uśmiechnąwszy, Leonardo rzekł pogodnie:

— Tak, ten czas dla jednych pędzi wartko, dla drugich stoi w miejscu.

— Będę w Neapolu pamiętała, że portret nie jest skończony.

Leonardo dworsko się pochylił w potakującym niejako ukłonie, a Mona Liza powiedziała:

— Za kilka miesięcy znów się znajdę w tej pracowni. Jakby po dzisiejszym dniu nazajutrz.

Podała rękę mistrzowi.

Ucałował tę rękę, po czym rzekł swobodnie:

— Życzę wam, pani, pomyślnej podróży i miłych wrażeń. A wam, wasza miłość — zwrócił się przyjaźnie do Francesca, który stał z zadartą głową nachmurzony i poruszał nosem, jak ogier chrapami — niech wam niezmiennie sprzyja powodzenie w waszych handlowych przedsięwzięciach.

— Dziękuję — odparł Gioconda. — Ważniejsza to rzecz, niż myślisz, mistrzu Leonardo. Dobrze kupić, a jeszcze ważniejsze dobrze sprzedać! Życie jest sprzedawaniem i kupowaniem, mości Leonardo, i umiejętnością ponoszenia strat dla zachowania korzyści.

Nacisnął klamkę, otworzył drzwi; powiedział:

— Mądrością życia jest posiadać.

Usunął się, by przeszła Mona Liza.

— Posiada się władzami duszy — rzekł Leonardo.

— Wzbogaca swe władze duszy, kto obrasta w złoto.

Pani Gioconda przekroczyła próg za nią postąpił Gioconda.

Słychać było stukot obcasów na schodach, potem skrzypnęły drzwi na dole. Zrobiło się cicho.

Leonardo został sam. Z portretem Lizy.

Wacław Grubiński

MATEUSZ GLIŃSKI

PROBLEM MUZYKI KOŚCIELNEJ

W związku z 50-leciem wydania przez Papieża Piusa X „Motu Proprio" i ogłoszeniem przez Ojca Świętego nowych wytycznych w dziedzinie muzyki kościelnej, w „Osservatore Romano" ukazało się szereg artykułów na ten temat redaktora muzycznego tego dziennika Mateusza Glińskiego; przytaczamy w skrócie ostatni, ogłoszony w dniu 24 listopada (nr. 273).

Mija pięćdziesiąt lat od ogłoszenia „Motu Proprio" Piusa X o muzyce kościelnej i rocznica ta nasuwa wiele refleksji o tym pamiętnym akcie, który dziś, tak jak przed pięciu dziesięcioleciami stanowi punkt wyjścia i jednocześnie ostateczny cel ewolucji muzyki kościelnej.

Motu Proprio z 22 listopada 1903 roku jest dziś może nie mniej aktualne niż przed laty. Przypomnijmy sobie początkowe przesłanki tego ważnego dokumentu o nadużyciach w dziedzinie śpiewu i muzyki kościelnej, spowodowanych już to przez samą istotę muzyki, zawsze abstrakcyjną i nieuchwytną, oraz przez stopniową zmianę smaku i nawyków w tej dziedzinie, wynikłych z powodu zgubnego wpływu sztuki świeckiej. Czy zdanie takie nie jest dziś aktualne?

Pierwszym i zasadniczym problemem, jaki powstaje dziś i nad jakim należy się poważnie zastanowić, jest stosunek pomiędzy stylem muzyki dzisiejszej a ideałami muzyki kościelnej. Kościół jest otwarty dla muzyki naszych czasów i postanowienia władz kościelnych nie pozostawiają pod tym względem żadnej wątpliwości. Pisał w swym Motu Proprio Papież Pius X: „Kościół uznawał zawsze i popierał postęp sztuk pięknych, dopuszczając do głosu wszystko to, co geniusz ludzki wydał z siebie dobrego i pięknego w ciągu stuleci". Do tych słów nawiązuje Encyklika „Mediator Dei" obecnego Papieża z dnia 20 listopada 1947. Ojciec Święty, który, jak wiadomo, jest głębokim znawcą muzyki i nie pomija żadnej okazji, aby podkreślić jej potęgę uduchawiającą i oczyszczającą nie tylko potwierdził, ale jeszcze wzmocnił tezę zawartą w Motu Proprio o muzyce kościelnej. Jeżeli w r. 1903 nowy styl muzyczny uznany został za dopuszczalny w liturgii kościelnej, obecnie, w świetle postanowień Encykliki z r. 1947, uznane zostało za **niezbędne**, aby muzyka kościelna dostosowała się do idei i gustu naszych czasów.

Mówiąc o muzyce kościelnej Ojciec Święty wyraził się w następujący sposób: „Owszem, jeżeli muzyka nowoczesna nie zawiera nic świeckiego, nielicującego z powagą Kościoła i akcji liturgicznej i jeżeli nie pochodzi z niezdrowego dążenia do czczych efektów, nowych, dotąd nieznanych, wówczas należy otworzyć przed nią wrota naszych kościołów." Te jasne i zwięzłe słowa streszczają i rozwiązują całą kwestię. Były one, rzecz prosta, często komentowane, ale w większości wypadków dawano im sens niewłaściwy. Wyraz „nowoczesna", jaki użyty został przez Ojca św., wprowadza w błąd tych, którzy go chcieli rozumieć w sposób właściwy naszym skrajnym dzisiejszym modernistom.

Dążenie do nowych efektów jest zawsze chwalebne jako dowód żywotności i szerokiego kręgu zainteresowań artystycznych, ale tylko wówczas może dać konkretne wyniki, jeżeli opiera się na trwałych zasadach i ma wyraźny punkt wyjścia. Z drugiej strony dążenie takie musi wypływać z pobudek idealnych. Tymczasem modernizm dzisiejszy wychodzi z zasady, że system tonalny naszych czasów przeżył się zupełnie i wobec tego styl odłamu skrajnego muzyki dzisiejszej ma charakter nawskroś eksperymentalny; według wielu poza tym natchnienie ustąpić musi miejsca intelektowi i mistrzostwu techniki formalnej. Skutki takiego nastawienia są łatwe do przewidzenia. Niezależnie od olbrzymiego wzbogacenia palety i niepospolitych talentów ostatnich dziesięcioleci, między muzyką a publicznością urwał się ten kontakt, jaki kiedyś sprawiał, że sale i teatry operowe były zawsze pełne. Muzyka modernistyczna poza tym dotąd jeszcze nie odnalazła swej właściwej drogi i tak jak przed czterdziestu laty, kiedy na widowni muzycznej ukazał się Schönberg, toczy się w obozie muzycznym gwałtowna polemika.

Niektórzy badacze naszej muzyki nowoczesnej usiłują usprawiedliwić ten stan rzeczy niezdecydowanym, przejściowym charakterem naszej dzisiejszej, przeładowanej i niezdrowej epoki, ale rozumowanie takie, aczkolwiek godne uwagi, nie wnosi nic konkretnego do naszych rozumowań. W świetle postanowień Motu Proprio i Encykliki wyżej wspomnianej, muzyka skrajnych odłamów dzisiejszych nie może w żadnym wypadku rościć praw do udziału w liturgii, dlatego, że nie odpowiada zasadniczym postulatom Piusa X. Nie odpowiada ona więc pojęciu „świętości", bo rozum góruje w niej nad uczuciem, forma nad treścią, nie jest „prawdziwą" w tym znaczeniu, jakie temu wyrazowi nadaje „Motu Proprio" („vera"), bo jej wartość budzi dotąd dyskusje i nie jest „uniwersalną", bo przeważająca większość miłośników sztuki jej nie uznaje i od niej stroni. Jest to właśnie muzyka, którą miał na myśli Papież Pius XII w swej Encyklice, kiedy wspominał o muzyce pochodzącej z dążenia do czczych efektów i kiedy uznał ją za nienadającą się zasadniczo do celów liturgicznych.

Wydaje się dziwne, że te proste zasady budzić mogą wątpliwości i że niekiedy nawet w środowisku oświeconym słyszeć się dają opinie zasadniczo błędne. Pochodzi to z pomieszania dwu zasadniczych pojęć: muzykę kościelną, przeznaczoną do liturgii plącze się często z muzyką religijną, powstałą z wzruszeń religijnych lub pisaną na tematy zaczerpnięte z Pisma Świętego, ale nie mającą nic wspólnego z Kościołem. Tak tylko tłumaczyć można chyba, że utwory takie, jak np. Msza Strawińskiego zaliczane są do muzyki kościelnej i że według niektórych nawet najbardziej skrajne odłamy dodekafonistów mogą być wciągnięte do współpracy z Kościołem.

Kiedy w r. 1903 Papież Pius X mówił o zgubnych wpływach muzyki świeckiej, miał na myśli wybujałości stylu operowego, nabrzmiałość i zmysłowość muzyki werystycznej, której styl zupełnie nie licował z powagą liturgii kościelnej.

I obecnie, tak samo jak przed pięćdziesięciu laty, należy odgrodzić muzykę kościelną od zgubnych wpływów muzyki świeckiej, ale dziś grozi co innego: niebezpieczne są lodowe podmuchy bezideowości i wyrachowania, które według nowych teorii zastąpić mają żywe soki natchnienia i idealizm artystyczny.

Ten stan rzeczy nakazuje wszystkim muzykom naszej doby, ożywionym hasłami postępu, ale nie zarażonym tendencjami burzycielskimi i antyartystycznymi, skupić się i przystąpić zgodnie do pracy nad rozwojem muzyki kościelnej w duchu nowych zasad, ogłoszonych przez władze kościelne. Kościół otworzył przed postępowymi artystami naszej doby swe święte wrota. Do naszej generacji należy odezwać się spontanicznie na to wezwanie i wstąpić w progi świątyni z sercem pełnym wiary, entuzjazmu i miłości.

Mateusz Gliński

DEBATY STUDENCKIE

Jedną z instytucji życia młodzieży akademickiej w Anglii, Szkocji i Walii stały się tzw. „debating tournaments" — rodzaj parlamentów dyskusyjnych, na które zjeżdżają się specjalnie wybrane zespoły z uniwersytetów któregoś z regionów Wielkiej Brytanii. Debaty te odbywają się na temat ściśle z góry określony i ujęty zwykle w formę żartobliwą lub paradoksalną.

Ostatnio odbyła się taka publiczna debata w University College w Bangor, w północnej Walii. Wzięło w niej udział sześć zespołów, w tym zespół uniwersytetu w Glasgow i zespół uniwersytetu dublińskiego; reprezentowani byli zarówno Walijczycy i Irlandczycy, jak Anglicy i Szkoci. Debacie przysłuchiwało się ponad 500 osób. Tematem jej było twierdzenie, że „życie jest za krótkie, by należało je brać na serio". Niektóre z przemówień utrzymane były w tonie poważnym, inne żartobliwym, ogólny ich poziom, jeśli sądzić z wrażeń uczestników, był wysoki.

Przewodniczącym kolegium sędziowskiego był Sir Wynn Wheldon, który ogłosił, że pierwsze miejsce przypadło w udziale zespołowi uniwersytetu liverpoolskiego; zwycięzcami byli V. Lishman i P. Maloney. Drugie miejsce zajął uniwersytet północno-walijski, którego najbardziej „wymownym" przedstawicielem był Ken Evans.

W tych dniach odbył się ostatni z tych regionalnych konkursów. Miejscem debaty było Kings's College uniwersytetu londyńskiego; wzięło w niej udział czternaście zespołów z uniwersytetów regionu londyńskiego.

Temat debaty był bardzo pikantny; sformułowanie brzmiało, że zebrani „ubolewają nad odkryciem Ameryki". W sądzie konkursowym, któremu przewodniczył p. Raymond Chapman, brało udział trzech członków Izby Gmin: Christopher Hollis, Fred Mulley i George Thomas.

WSPOMNIENIA O CONRADZIE. Pisarz angielski David Garnett ogłosił tom swych wspomnień pt. „The Golden Echo" (Chatto and Windus, cena 21/-). Autor jest synem Edwarda Garnetta, człowieka, który „odkrył" Conrada-Korzeniowskiego przez to, że zalecił do druku pierwszą powieść Conrada „Szaleństwo Almayera" i którego z Conradem złączyła później dożywotnia przyjaźń.

Nic dziwnego, że w książce syna znalazło się również sporo wspomnień o Conradzie, którego poznał będąc jeszcze dzieckiem. Występują też w „The Golden Echo" inni wybitni pisarze angielscy: John Galsworthy (również przyjaciel Conrada), Rupert Brooke, Virginia Woolf, D. H. Lawrence.

TOMASZ MERTON

ŚWIĘTY JAN OD KRZYŻA

Jeśli nie znasz widoku Toleda El Greca, przyjrzyj mu się. Opowie ci trochę o św. Janie od Krzyża. Mówię opowie trochę — nie bardzo dużo. Święty Jan od Krzyża i El Greco żyli jednocześnie, mieszkali w jednym kraju, byli mistykami, choć oczywiście nie w tym samym stopniu. Pod innymi względami byli bardzo różni. Ojciec Bruno, autor najlepszego z napisanych dotąd żywotów św. Jana od Krzyża, kilkakrotnie ostrzega czytelnika, by sobie nie wyobrażał, że święty Jan od Krzyża wyglądał jak obrazy El Greca. Już prędzej przypominał jakiegoś kartuza Zurbarana. I to porównanie zresztą nie jest zupełnie ścisłe. Oryginalny i autentyczny portret świętego przekazuje nam go z twarzą niewinną, właściwie pozbawioną wyrazu. Stanowczo nie można się w nim dopatrzeć ascezy. Robi wrażenie sklepikarza madryckiego lub kucharza.

Widok Toleda El Greca jest bardzo dramatyczny. Jest pełen duchowych powiązań. Wygląda na portret Jeruzalem Niebieskiej, noszącej żelazną maskę. A jednak nie ma żadnego bezwładu w tych gmachach. Ponure miasto, zbudowane na swej górze, wydaje się na wskroś żywe. Wzbiera życiem, skondensowane jakimś tajemniczym, opatrznościowym naporem, unoszącym te masy kamienia w górę ku niebu, w chmurach błękitnej katastrofy, brzemiennej przeczuciem końca świata.

Gdzieś w środku tego obrazu musi znajdować się gmach, gdzie święty Jan od Krzyża był więziony. Krótko po rozpoczęciu reformy świętej Teresy zniknął, porwany przez oponentów reformy. Nikt nie miał pojęcia co się z nim stało i, jak żaliła się święta Teresa, nikogo nie zdawało się to obchodzić. Zamknięty w dławiący upał lata toledańskiego, w celi bez powietrza i światła, czekał śledztwa i kary za sprawę, którą prześladowcy jego poważnie uważali za zbrodnię kanoniczną. Zawiłe polityczne i kościelne powiązania reformy karmelickiej wciągnęły świętych tej reformy w rodzaj kabały, w której oni jedni z całej Hiszpanii nie znajdowali przyjemności. A nawet św. Teresa, której gołębią prostotę wspierała w tych sprawach paraliżująca niemal ostrożność, zdawała się nią ubawiona.

Dla Jana od Krzyża nie było, po ludzku sądząc, nic ucieszneg w więzieniu toledańskim. Jedyne wycieczki poza celę odbywały się w dniach, kiedy go sprowadzano do refektarza na publiczne biczowanie przez strażników. Gorszyło ich jego łagodne milczenie, które brali za oznakę zdeprawowanego sumienia, zatwardziałego w buncie. Czemu ten człowiek nie próbował się bronić?

Tutaj w Toledo „w brzuchu wieloryba“, jak to określał święty, roztropniejszy pod tym względem niż prorok Jonasz, w milczeniu rozprawiał się nie z ludźmi a z Bogiem samym, cierpliwie czekając Bożej odpowiedzi, która by położyła kres ciemnej nocy jego duszy. Nie wiadomo kiedy i jak odpowiedź przyszła, ale kiedy św. Jan cudem zbiegł w oktawę Wniebowstąpienia 1578, miał w kieszeni rękopis poematu, który zdaniem miarodajnych hiszpańskich krytyków przewyższa wszystkie napisane w hiszpańskim języku. Szereg tych krytyków ciągnie się od Menendez y Pelayo, którego miarodajność może się wydawać nieco zmurszała, do nowych i bardziej postępowych pisarzów. Nawet londyński przegląd „Horyzont“, dobrze notowany wśród intelektualistów, zawierał dwa bardzo kompetentne studia o świętym Janie od Krzyża w serii „Studiów geniuszu“. O ile mi wiadomo, św. Jan od Krzyża był jedynym świętym w tej serii.

El Greco malował w Toledo, kiedy św. Jan od Krzyża był tam w więzieniu. Lecz uwięzienie św. Jana od Krzyża i „Hymn duszy“, który rozkwitł cudownie w celi, gdzie go zamknięto, mało miały wspólnego z greckim uchodźcą. Zupełnie odmienna gra barw. Widok miasta zrobiony przez malarza musiał być widokiem zimowym; jest czarny, fioletowy, zielony, niebieski i szary. A ruch jest ślepym naporem wypierającym ziemię i niebo ponad krawędź obrazu, jak przypływ Oceanu Lodowatego. Plan barwny więzienia Jana jest złożony z czerni, ugrów, brązów i czerwieni: czerwienią jest jego własna krew spływająca z pleców. Ruch jest dośrodkowy. Jest olbrzymia równowaga nie tylko w tej duszy unieruchomionej, wtłoczonej w mur z rozpalonego kamienia, lecz w jej dnie oczyszczonym czyśćcem, znanym tym tylko, którzy go przebyli; w głębinach duszy odnajdującej siebie w środkowym punkcie wszystkiego, w Miłości poruszającej niebo i gwiazdy, w Bogu żywym.

Ostatnim miejscem na świecie, gdzie można sobie wyobrazić, że powstał „Hymn duszy“, jest loch!

Mój ukochany jest jak góry,
Samotne leśne doliny,
Dalekie wyspy,
Rzeki szemrzące,
Jak szept słodkiego powietrza!

Jak noc skupiona,
Ściszona przed świtem,
Muzyki echo,
Dźwięczna samotność,
Wieczerza co życie przywraca.
Miłość przynosi.

Łoże kwieciste
Pomiędzy lwów jaskiniami,
Namiot z purpury otacza
Namiot pokoju;
Tysiące złotych tarczy ma u stropu.
Szybkolotne ptaki,
Lwy i jelenie i skoczne łanie,
Góry, wybrzeża, doliny,
Potoki, wiatry i dzienne upały
I czary nocnych przerażeń.

Na słodycz lir i syren śpiew,
Zaklinam was: niech zniknie gniew!
Nie tknijcie ścian,
Niech wybrana bezpiecznie trwa w
swym śnie.

Jedynie Święty i Bóg wiedzą, jakie dalekie echa codziennego zespolenia w całkowicie odmiennym świecie przenikały ciemności celi więziennej i spokój nieskończenie głębokiego snu, w którym dusza jego spoczywała ukryta w Bogu. Nie tknijcie ścian..., ale policja religijna nie mogła zakłócić ekstazy człowieka uniesionego tak daleko, że już nie niepokoiła go myśl odtrącenia nawet przez świętych.

Nikt nie może zostać świętym nie rozwiązując problemu cierpienia. Poza Pismem Świętym żaden pisarz nie dał nam nigdy takiego rozwiązania tego zagadnienia, jak święty Jan od Krzyża. Nie będę roztrząsał jego odpowiedzi. Zaznaczę tylko fakt, że istnieje, przechodząc dalej. Dla tych, którzy ją chcą przeczytać jest „Ciemna noc duszy“. Ale jedno powiedzieć trzeba: świętość nigdy nie może pozostać teoretycznym tylko roztrzygnięciem problemu cierpienia. Świętość nie rozstrzyga tego zagadnienia analizując, lecz cierpiąc. Jest rozstrzygnięciem żywym, przez ogień wypalonym i w ciele i w duchu świętego. Samo Pismo Święte to stwierdza: „Jako w ogniu próbują srebro, a złoto w piecu, tak Pan próbuje serca“ (Ks. Przyp. 17, 3)). „Synu, przystępując do służby Bożej, stój w sprawiedliwości i w bojaźni i przygotuj duszę swą na pokusę. Uniż serce twe i bądź cierpliwy, nakłoń ucha twego i przyjmij słowa rozumne, a nie śpiesz się czasu doświadczenia. Znoś zwłokę Bożą; złącz się z Bogiem i trwaj, aby wzrosło na końcu życie twoje. Wszystko, co na cię przyjdzie, przyjmuj i w boleści trwaj, a w uniżeniu twoim miej cierpliwość: bo złoto i srebro w ogniu bywa próbowane, a ludzie przyjemni (Bogu) w piecu utrapienia“ (Eklezj. 2, 1-5).

Świętość nie polega na cierpieniu. Nie jest nawet bezpośrednio produktem cierpienia, bo wielu cierpiało, a stali się podobniejsi do szatanów niż świętych. Co więcej, poniektórzy z przewrotną satysfakcją śledzą cierpienia świętych, a są obrzydliwie sentymentalni na temat własnych cierpień i wieńczą to wszystko żarłocznym apetytem zadawania bólu innym, niekiedy w imię świętości. Z tych byli prześladowcy ostatnich dni życia św. Jana od Krzyża, którzy dopomogli mu osiągnąć niebo boleśniej i bardziej bohatersko. To nie byli „trzewiczkowi“*), którzy pozbawili go wolności w początku jego kariery, lecz szampioni ascetyzmu z jego własnej rodziny, ludzie drugiego pokolenia, ci którzy nieświadomie rujnowali pracę założycieli, a z pełną świadomością robili co mogli, by usunąć św. Jana od Krzyża ze stanowiska, z którego mógłby bronić wszystkiego, co znane mu było jako ideał Teresy.

Sama w sobie świętość jest żywym rozstrzygnięciem problemu cierpienia. Dla świętego ból nie przestaje być bólem, lecz nie jest już przeszkodą w jego misji ni szczęściu, które pozytywnie i konkretnie mieszczą się w woli Bożej. Wolę Boga odnajduje święty nie tyle w jej przejawach zewnętrznych, co w Bogu samym.

Cierpienie na poziomie przyrodzonym jest zawsze sprzeczne z przyrodzoną radością. Radość w porządku nadprzyrodzonym jest po prostu składnikiem miłości. Jest nieodłączna od miłości, którą Duch Święty napełnia nasze serca. Póki jednak świętość nie jest dojrzała, jej radość nie zawsze jest rozpoznawalną. Łatwo może być pogrzebana w bólu. Lecz prawdziwa miłość nie tylko nie jest umniejszona cierpieniem, lecz wykorzystuje cierpienie, jak wykorzystuje wszystko inne; dla wzrostu wrodzonej sobie żywotności. Miłość, to wyraz Bożego życia w nas, a to życie, jeśli nie stawiamy mu przeszkód, rozrośnie się i rozkwitnie najpełniej, właśnie w obecności wszystkiego, co zdaje się unicestwiać życie i gasić jego płomień. Życie, które rozpala się stokrotnym blaskiem w obliczu śmierci, jest więc niezwyciężone. Jego radość nie może zawieść. Zdobywa wszystko. Nie zna cierpienia. Jak Chrystus zmartwychwstały, jego esencja i twórca, nie zna śmierci.

Doskonałym było życie miłości wielkiego reformatora karmelitów, świętego Jana od Krzyża. Tak doskonałym, że nie można powiedzieć by lśniło wobec ludzi. Dusza jego była zbyt czysta, by przyciągać uwagę. Ale właśnie z powodu tej czystości, jest on jednym z niewielu świętych, którzy mogą stać się dosłyszalni w najbardziej nieoczekiwanych zaułkach świata, który nie jest czysty. Święty Jan od Krzyża, który na pierwszy rzut oka wydaje się świętym najczystszym spośród chrześcijańskiej elity, łatwo się może okazać ostatnią nadzieją ladacznic i pijaków. Świętość tego niezwykłego dziecka „sięga potężnie z kresu po kres“. Zagubiony w mądrości Boga, w Bogu osiąga wszystko. Ten święty, jakże często karykaturowany jako ekstremista, jest w rzeczywistości poza wszelkimi skrajnościami. Unicestwiwszy wszelkie skrajności w centrum własnej pokory, pozostaje bezbarwny i neutralny. Doktryna jego, za nadludzko trudną uważana, jest trudną jedynie dlatego, że jest nadludzko prostą. Prostota jej zdaje się stawiać przeszkodę ludzkiej naturze, która usiłuje kryć się przed Bogiem w labiryncie umysłowych zawiłości, jak Adam i Ewa wśród liści raju.

Najtrudniej pogodzić się w świętym Janie od Krzyża nie z Krzyżem, lecz z przerażającą neutralnością jego samotności wewnętrznej. Ostatecznie, jak nam rozsądnie wskazuje, kiedy dusza uwolniła się przez krzyż od wszelkich zmysłowych czy duchowych przeszkód, jej droga do Boga staje się łatwą i radosną; Krzyż jest podporą, która pomaga Boga osiągnąć i czyni drogę znacznie łatwiejszą i lżejszą. Dlatego Bóg rzekł przez św. Mateusza: „Brzemię moje jest łatwe, a ciężar lekki“, a tym ciężarem jest Krzyż.

Bo jeśli człowiek zdecyduje się nagiąć ku niesieniu swego krzyża, to jest, jeśli zdecyduje się naprawdę pragnąć doświadczeń i znosić je we wszystkim dla Boga, znajdzie w nich wielką ulgę i słodycz, z którymi iść będzie po swojej drodze, w odterwaniu od wszystkiego i niczego nie pragnąc **).

Słowa „niczego nie pragnąć“ zawierają całą trudność i całą prostotę świętego Jana od Krzyża. Lecz żaden chrześcijanin nie ma prawa uskarżać się na nie. Są po prostu echem słów sumujących nauczanie Jezusa Chrystusa w Ewangelii: „abnegat semetipsum“. „Ktokolwiek chce iść za mną, niech się zaprze sam siebie...“

To zupełne wykreślenie siebie, które święty Jan od Krzyża posuwa do ostatecznych głębin ducha ludzkiego, sprowadza krajobraz wewnętrzny do pustkowia pozbawionego jakichkolwiek dających się odróżnić kształtów. Jesteśmy nawet pozbawieni pociechy oglądania osobistej katastrofy. Kataklizm ducha, dlatego że straszliwy, jest także interesujący. Lecz dusza kontemplatywna jest szczęśliwa, gdy jest sprowadzona do stanu zupełnej samotności i opuszczenia, w których najbardziej znaczące jest zrezygnowanie z upodobania w sobie. Wielu ludzi pociąga samotność, w której wyobrażają sobie, że będą mieli czas i możność przemyślenia siebie. Nie tak było z św. Janem od Krzyża: Te czasy posuchy powodują duszę do poruszania się w czystej miłości Boga, skoro nie wpływają już na nią w jej czynnościach radość i słodycz samych czynów, lecz wyłącznie pragnienie zadowolenia Boga. Przestaje być próżna i zachwycona sobą, jak nią może bywała w okresie powodzenia, a staje się lękliwą i nieśmiałą na własny temat, nie znajdując w sobie jakiejkolwiek radości; w tym to święty lęku trwają i wzrastają cnoty... Istotnie, poza radością, jaką Bóg ją niekiedy przenika, nie wydaje się, aby własna gorliwość w ćwiczeniach duchowych lub czynach mogła jej przynieść jakiekolwiek zadowolenie.

Rośnie w duszach, które doświadczają tej oschłej nocy (zmysłów) dążenie do Boga i głód służenia Mu; bo w miarę wysychania źródeł zmysłowości podtrzymujących i karmiących żądze, nic w tej posusze i oderwaniu nie pozostaje poza tęsknotą służenia Bogu, co jest rzeczą wielce przyjemną Bogu.“***).

Radość tej próżni, przedziwna neutralność ducha, która utrzymuje duszę w oderwaniu od rzeczy ziemskich, lecz jeszcze nie w posiadaniu niebieskich, nagle rozkwita w czysty raj wolności, o którym święty śpiewa w „Hymnie duszy“: jest to samotność, pełna dzikiego ptactwa i dziwnych drzew, skał, rzek i wysp bezludnych, lwów i skaczących łani. Stworzenia te są symbolami radości duszy, składnikami samotności wewnętrznej, ogniami rozbłyskującymi w otchłani czystego serca, którego samotność nabiera życia wśród rozdzierających Bożych błyskawic.

Jeśli twierdzę, że święty Jan od Krzyża wydaje mi się najprzystępniejszym spośród świętych, jest to inny sposób stwierdzenia, że jest moim ulubionym świętym — razem z trzema innymi, którzy wydają mi się równie łatwi w pożyciu: święty Benedykt, święty Bernard i święty Franciszek z Asyżu. Ostatecznie ludzie, z którymi zawiera się przyjaźń, to ci, którzy dopuszczają człowieka do swego towarzystwa. Niezależnie od tego, mam wrażenie, że święty Jan od Krzyża jest absolutnie i sam przez się bardzo przystępnym świętym. Ci, którzy uważają, że jest odpychający, powiedzą, że to rażący paradoks. A jednak to prawda, jeśli zważycie, że może żaden święty nie otworzył ludziom tak głębokich tajników własnej duszy. Święty Jan od Krzyża dopuszcza w „Żywym płomieniu“ do „najgłębszego centrum“ swojej duszy, do „głębokich jaskiń“, gdzie lampy ogniste, właściwości Boże, migają tajemniczo wśród metafizycznych cieni. Któż inny by to uczynił? Święty Jan nie objawia się nam w alegorii, jak to czyni św. Teresa, lecz w symbolu. A symbol jest znacznie potężniejszym środkiem, niż alegoria. Jest prawdziwszym, bo bardziej bezpośrednim i osobistym. Nie potrzebuje być wypracowany i przystosowywany przez rozum. Symbole rodzące się w głębinach serca św. Jana od Krzyża budzą podobne symbole w głębinach serca, które je pokochało. Ich działanie jest oczywiście podtrzymane i wzmocnione przez łaskę, którą — nie wątpimy o tym — święty sam wyprosił dla dusz powołanych do kochania go w Bogu. Chyba tylko przyjaźń duszy z Bogiem samym może przewyższać serdeczność przyjaźni i zjednoczenia z tym świętym. Ziemia nie zna takich zbliżeń. Ci, którzy kochają św. Piotra i reagują z sympatią na jego doświadczenia aż nazbyt ludzkie, nie zdołają tak się zbliżyć do św. Piotra, jak ten, kto spotyka św. Jana od Krzyża w głębiach modlitwy. Św. Piotra poznajemy na bardziej zewnętrznych planach życia na płaszczyźnie namiętności i wzruszenia, lecz na tym planie jest mniej komunii i owocnej wymiany, niż w głębinach modlitwy.

I tak św. Jan od Krzyża nie tylko czyni nam dostępnym siebie samego, lecz daje wiele więcej: udostępnia nas nam samym, otwierając Bogu nasze serca aż do ich własnych tajników.

Kończąc, dobrze jednak będzie zdobyć się na kurtuazję przyznania, że św. Jan od Krzyża nie jest pokarmem każdemu. Nawet w zakonach kontemplacyjnych są tacy, którzy nigdy z nim w zgodzie nie będą i inni, którzy choć sądzą, że wiedzą o co mu chodzi, lepiej by mu dali spokój. Wyprowadza on z równowagi każdego, co sobie wyobraża, że jego doktryna wiedzie drogą wzniosłą. Przeciwnie, droga jego jest skromna, tak jakby w ogóle jej nie było, bo św. Jan od Krzyża nie jest przychylny systemom, a zawzięcie wrogi wszelkiej egzaltacji. Omnis qui se exaltat, humiliabitur. Chwałą jego jest obywać się bez chwały dla miłości Chrystusa.

Święty Jan od Krzyża jest patronem tych, których powołanie wydaje się oszałamiająco wspaniałe, gdy w rzeczywistości jest pokornym, trudnym macaniem drogi w ciemności. Jest patronem, opiekunem i mistrzem tych, których Bóg wyprowadził na nieinteresującą pustynię modlitwy kontemplacyjnej. Granice jego władania są ściśle oznaczone. Jest patronem dusz kontemplatywnych w ścisłym znaczeniu i ich duchowych kierowników, nie ludzi poświęcających się kontemplacji w sensie reguły. Jest patronem tych, którzy modlą się w pewien sposób, do którego Bóg ich skłonił gdziekolwiek żyją: w klasztorze, na pustyni czy w mieście. Wpływ jego nie ogranicza się zatem do jednego zakonu, lub zakonów jednego rodzaju. Jego nauka nie jest jedynie „spirytualizmem karmelitańskim“, jak się niektórym wydaje. Zaryzykowałbym raczej twierdzenie, że jest on ojcem tych wszystkich, których modlitwa jest nieokreślonym osamotnieniem poza granicami „spirytualizmu“.

Jan od Krzyża z tymi przede wszystkim się zadaje, którzy najdziwniejszymi sposobami znaleźli się twarzą w twarz z Bogiem, na drogach, których żadne metody nie tłumaczą i nie wyjaśniają żadne księgi. Jest on w Chrystusie wzorem i twórcą dusz kontemplacyjnych na wszelkich ścieżkach życia.

Tyle o nim powiedzieć wystarcza. Święty Jan od Krzyża nie był sławny za życia i nie będzie sławnym dzisiaj. Nie ma potrzeby, aby ani on ani kontemplacja nabrały rozgłosu. W świecie, gdzie o wszystkich dobrych rzeczach się rozmawia, a w gruncie rzeczy nie praktykuje się żadnej, byłoby nieostrożnie robić modlitwie kontemplacyjnej reklamę, choć może nie ma nieszczęścia, że znaną się stała z imienia. Bóg sam wie dobrze, jak zapoznać z samą rzeczą tych, którym w Jego zamiarach wobec nich, jest potrzebna.

Niech wystarczy stwierdzenie, że ten święty hiszpański jest jednym z największych i najbardziej ukrytych świętych, że spośród wszystkich świętych był może największym poetą i najgłębiej kontemplatywnym i że w pokorze swojej był także ogromnie ludzki, choć niewiele powiedziałem, by to udowodnić. Wiem, że on zrozumie, że ten artykuł o nim był napisany jako akt ukrytego hołdu, gest miłości i wdzięczności i zamaskowana modlitwa. Wie, czego ta modlitwa szuka. Niech zechce tym obdarzyć autora i czytelników tych słów.

Tomasz Merton
(Tłumaczyła
Teresa Skórzewska)

*) Karmelici „trzewiczkowi“ sprzed reformy, tak nazwani w odróżnieniu od „bosych“, którzy przyjęli reformę św. Teresy. (Przyp. tłumacza)

**) The Ascent of Mount Carmel 11. 7. Complete Works of St. John of the Cross. Translated and edited by E. Allison Peers. (Westminster: Newman 1945). Vol. I. Str. 91.

***) The Dark Night of the Soul. 1. 13 Peers, op. cit. t. I, str. 39.

RADIO BRYTYJSKIE O KSIĘŻACH-ROBOTNIKACH

Pisarz francuski Pierre Emmanuel wygłosił w 3 Progr. BBC prelekcję o głośnym obecnie zagadnieniu tzw. „prêtres-ouvriers“ we Francji. Emmanuel przypomina, że we wrześniu rb. kardynał Pizzardo, prefekt Św. Kongregacji Seminariów w Rzymie, zakomunikował biskupom francuskim decyzję, w myśl której seminarzystom nie wolno jest spędzać okresu nowicjatu w fabrykach. Dotyczyło to głównie uczniów seminarium ustanowionego przez „Mission de France“ w celu przygotowania nowego typu akcji misyjnej wśród mas „odchrześcijanionych“. Księża, którzy czują specjalne powołanie do tej akcji, nazywani są „księżmi-robotnikami“, są oni przekonani, że kto chce dotrzeć naprawdę do mas, musi stać się ich częścią, a więc robotnikiem i jak najściślej żyć ich życiem codziennym, ich nadziejami i nawet ich walką społeczną.

Decyzja Watykanu wywołała wielką sensację; jej treść skomentowana została przez wiee pism w opaczny sposób. Niektóre z nich węszyły już oderwanie się „księży-robotników“ od Stolicy Św. i nową herezję.

Przyczyny decyzji były różne. Półtora roku temu dwóch „księży-robotników“ zostało zaaresztowanych i pobitych przez policję podczas demonstracji komunistycznych w Paryżu, skierowanych przeciw nominacji gen. Ridgwaya. Podniosły się liczne głosy, że wśród owych księży znajduje się znaczna liczba prokomunistycznych „fellow-travellers“ i że w ten sposób religia może być używana dla celów wywrotowych Moskwy.

Jednak istniały inne, bardziej jeszcze zasadnicze powody stanowiska, zajętego przez Watykan. Chodzi o to, że ksiądz nie może zanadto dawać się wciągać w życie świeckie; „księża-robotnicy“ silnie ulegali wpływowi swego środowiska. Na ten temat wypowiedział się kardynał Saliège, arcybiskup Tuluzy, cieszący się szczególnym autorytetem wśród Episkopatu francuskiego.

„Styl życia kapłańskiego — pisał on w liście pasterskim — nie może nigdy utożsamiać się ze stylem życia człowieka świeckiego. Przed księdzem stanąć mogą pokusy, by prowadzić życie normalne, zazdrościć parom małżeńskim ich sytuacji i spoglądać na swój własny ślub czystości z pewnym kompleksem niższości. Inną pokusą jest przekonanie, że do zasadniczych funkcji księdza należy objęcie stanowisk przywódców świeckich w walce społecznej robotników“.

Tenże sam kardynał Saliège, mówiąc o grupie „Jeunesse de l'Elise“, kierowanej przez byłego dominikanina Montudara i niedawno potępionej przez Kościół, wyraził się ostro: „Wszystko wskazuje na istnienie uzgodnionej akcji, której celem jest przygotowanie wśród katolików ruchu zdecydowanie przyjaznego komunizmowi“.

Niemniej — stwierdza p. Emmanuel — Episkopat francuski uznał, że akcja „księży-robotników“ miała i liczne strony dodatnie. W rezultacie trzech kardynałów francuskich udało się do Rzymu i przedstawiło Papieżowi całe zagadnienie. Po powrocie kardynałowie ogłosili w dniu 14 listopada oficjalne stanowisko Kościoła, o czym już szczegółowo pisaliśmy. Jego treścią jest, że „księża-robotnicy“ mogą kontynuować swą pracę misyjną, ale pod pewnymi warunkami. Przede wszystkim więc muszą przechodzić specjalne wyszkolenie pod kontrolą swych biskupów. Następnie nie wolno im już prowadzić życia swobodnego, polegającego na przerzucaniu się z jednego środowiska w inne; będą oni związani z pewną społecznością lub parafią i po swej codziennej pracy wracać będą musieli do towarzystwa innych księży. Po trzecie wreszcie zabroniona im będzie działalność społeczna, szczególnie na terenie związków zawodowych. Ograniczenia więc są poważne, ale konieczne wobec grożących niebezpieczeństw.

DOKUMENTY NAUKI KOŚCIOŁA

Zbyt dużo katolików, a katolików polskich w szczególności, wydaje się mniemać, że znajomość zasad Wiary wyniesiona ze szkół wystarcza im na całe życie. Zagadnienie Kościoła Nauczającego jest dla nich czysto teoretyczne. Zagadnienie katolicyzmu uniwersalnego, przepajającego całe życie jednostek i społeczeństw w ogóle dla nich zbyt często nie istnieje. Nie odczuwają potrzeby pogłębiania swego katolicyzmu, konfrontowania go z własnym życiem, słuchania głosu Kościoła.

Łączy się to zbyt często z pretensją do świata i ludzi, z pretensją nawet do Kościoła, że świat nie jest urządzony tak, jak być powinien. Łączy się to zbyt często z próbami szukania rozwiązań dla różnych problemów życiowych na innych drogach, częstokroć bez uprzedniego nawet zainteresowania się, jakie jest stanowisko w tej sprawie Kościoła i jaką Kościół, w danej sprawie, drogę wskazuje.

Przykładem naszej postawy w tej dziedzinie jest pozostawanie na półkach księgarskich prawie całego nakładu wydawnictwa „Dokumentów Nauki Kościoła“, zapoczątkowanego w latach wojny przez Polską Misję Katolicką w Londynie, prowadzonego następnie przez Katolicki Fundusz Wydawniczy, a podjętego przed paru laty przez Veritas Foundation Publ. Centre. Przedmiotem tego wydawnictwa są aktualne wypowiedzi Kościoła w sprawach o żywotnym znaczeniu dla wszystkich katolików, wypowiedzi oświetlające i rozstrzygające trudne i tragiczne nieraz problemy, problemy życia codziennego, problemy życia chrześcijańskiego.

Ze strony wydawniczej, zadanie zapoznawania ogółu emigracji polskiej z tymi, tak ważnymi, wypowiedziami jest, w ramach skromnych możliwości, spełniane. Dotychczasowy dorobek w tej dziedzinie wynosi 25 pozycji, zeszyt 26 ukaże się jeszcze w ciągu bieżącego miesiąca. Ze strony czytelników, niestety, odzew jest raczej nikły. Wystarczy powiedzieć, iż niektóre z najważniejszych ostatnich wypowiedzi Piusa XII rozeszły się wśród setek tysięcy emigracji polskiej w zawrotnej wysokości t r z y d z i e s t u egzemplarzy.

A przecież niektóre z tych wypowiedzi omawiane były szeroko w prasie, nie tylko katolickiej, całego świata. A przecież wypowiedzi te są bezpośrednią, ojcowską pomocą ze strony Kościoła Nauczającego dla nas wszystkich w kształtowaniu naszego życia.

W dokumentach wydanych dawniej znajdują się takie pozycje, jak encykliki społeczne „Rerum Novarum“ i „Quadragesimo Anno“, jak encykliki Piusa XI O Małżeństwie Chrześcijańskim i o Chrześcijańskim Wychowaniu Młodzieży, jak obecnego Papieża zasadnicza dla każdego katolika encyklika o Kościele („Mystici Corporis“), czy „Humani Generis“ traktująca o pewnych fałszych poglądach zagrażających podstawom nauki katolickiej.

Wydawnictwa ostatnich dwóch lat, to: „Problemy Moralne Pożycia Małżeńskiego“, które odbiły się głośnym echem w prasie całego świata, to wskazujące drogę wyjścia z obecnego chaosu „Kościół i Katolicy w Dziele Pokoju“, to „Sumienie Chrześcijańskie“, to omawiające ostatnie zdobycze i odkrycia naukowe „Dowody Istnienia Boga w Świetle Nowoczesnej Nauki“ i „Duch Ludzki Poznaje Wszechświat“.

I wreszcie, wychodząca w najbliższych dnia z druku, encyklika „Fulgens Corona“, wydana na początek Roku Maryjnego, a będąca w swej istocie rozkazem bojowym dla katolików całego świata.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

BOŻE NARODZENIE, 1953.

WŁADZOM RZECZYPOSPOLITEJ, NAJDOSTOJNIEJSZEMU OPIEKUNOWI UCHODŹSTWA, PRZEWIELEBNYM WIKARIUSZOM GENERALNYM, WIELEBNEMU DUCHOWIEŃSTWU, POLAKOM W KRAJU I NA OBCZYŹNIE, WSPÓŁPRACOWNIKOM, CZYTELNIKOM I PRZYJACIOŁOM — BŁOGOSŁAWIEŃSTWA BOŻEJ DZIECINY I JEJ POMOCY WE WSZYSTKICH POCZYNANIACH ŻYCZĄ:

REDAKCJA „ŻYCIA"
oraz
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"

GÓRALE W SZOPCE KRAKOWSKIEJ

Przez emigracyjne piśmiennictwo przewinął się w ostatnich tygodniach ożywczym prądem temat daleki od codziennej problematyki tułaczego życia, od wielkich i małych swarów, polemik, dyskusji. Na imię mu: T a t r y. ...Umęczone tęsknotą za ojczystym krajem dusze chłonęły go chciwie, przeniesione „do tych stron ojczystych", do jednej z najczarowniejszych połaci Kraju. Przeniósł je — najpierw czar goetlowskiej prozy, a potem ożywiona dyskusja na temat ludu Podhala.

Do tematu tego — sam Krakowiak, zaprzedany duszą i ciałem Tatrom — pragnę dorzucić drobną cegiełkę. Nie z uczuciowych zresztą pobudek. Nie o Tatrach i góralach też wprost pragnę napisać, ale o tym, jak na tych chłopów Skalnego Podhala patrzył i co o nich myślał chłop Ziemi Krakowskiej. I to w pierwszych latach ostatniej wojny.

Dwa problemy wielkiej polskiej rodziny pasjonowały wówczas specjalnie gorąco i żywo cały Kraj. Jeden — objawy niesławnej pamięci zdrady narodowej, popełnianej przez ludzi słabych i tchórzliwych. Ze zdrady tej narodziła się nacja „volksdeutsch'ów". Drugi, pozornie pokrewny, miał od pnia polskiego oderwać inną nację — „Goralenvolk".

Zagadnienie „volksdeutschostwa" niemal nie istniało na wsi polskiej — na dźwięk obmierzłego synonimu zdrady chłop siarczyście spluwał. Natomiast echa tego, co zaczynało się dziać w r. 1940 na Podhalu, wieś — zwłaszcza podkrakowską, sąsiadującą o miedzę — obeszły do żywego.

Zanim odtworzę jedną z takich chłopskich reakcji na to, co się w rodzinie polskiej działo, pozwolę sobie na jeszcze jedną, konieczną, dygresję.

O Tatrach, o góralach trudno inaczej mówić czy pisać, jak tylko z pogodą, słońcem i humorem.

Humor zaś polski lat ostatnich — w jego sferę sięgać będzie moja relacja — ma to do siebie, że nie tylko bawi, ale przede wszystkim stanowi nowy rodzaj broni narodowej. Takiej niezawodnej, która w latach nocy niewoli zdawała i po dzień dzisiejszy zdaje egzamin swej wartości. Humor ten zyskał sobie — najzupełniej słusznie — nowe miano: h u m o r k r a j o w y. Dla każdego z nas w tych dwóch słowach kryje się dziś treść bogata. Od lat 14 przenikają do wolnego świata coraz to nowe jego przejawy. Perlą się one miłością kraju i wolności, skrzą się dowcipem, czarują swobodą, głębią i trafnością sformułowań. Przegląda się w nich prawdziwa, niedająca się pohańbić i zniewolić polska dusza.

Nie sposób dokonać dziś pełnej antologii owej swoistej twórczoci minionych lat niewoli. Nie tylko dlatego, że nie można chwilowo sięgać do jej kolebki — do Kraju. Pamiętać jeszcze należy, że oprócz powszechnie znanego rodzaju humoru krajowego, tego niemal oficjalnego, tego, którym rozbrzmiewały kiedyś przepełnione pociągi i tramwaje, place targowe i ulica, a który dziś musiał się głębiej zaszyć i ograniczyć może do czterech ścian pokoju, istnieje i drugi: h u m o r w pełnym tego słowa znaczeniu k o n s p i r a c y j n y, tworzony i pielęgnowany przez niewielkie zespoły ludzkie, z konieczności nieznany szerzej.

Pragnę dziś u j a w n i ć jedną z perełek tego zakonspirowanego humoru. Incipiam.

Drugie wojenne Boże Narodzenie — rok 1940. M i c h a ł to nie tylko zapalony i doświadczony dowódca zakonspirowanej drużyny, ale i organizacyjny poeta. Ku radosnemu zdumieniu szczupłutkiego grona wtajemniczonych obwieścił, iż skomponował... szopkę polityczną. Taką prawdziwie krakowską, pełną ciętych kupletów politycznych, przeplatanych nutą smętku i tęsknoty za wolnością. Był Michał uosobieniem romantyzmu. Dziecko wsi podkrakowskiej, która dała mu zaledwie powszechne wykształcenie, a której zaczął przewodzić „pod ziemią" niemal od pierwszych dni niewoli, chłonął szeroko rozpostartymi skrzydłami swej młodej duszy wszystko, co w świecie piękne i dobre. Półsierota, pan na kilku zagonach, był prawdziwie chłopem-arystokratą, po chłopsku dumnym ze swej polskości, ową rzadką, przepiękną, czystą dumą. Znała, kochała i ceniła go cała okolica. Był — podówczas 25-letni — rasowym przedstawicielem młodego pokolenia, które w życie narodowe wejść miało z twardym kośćcem, zbrojne w umiłowanie i znajomość Krzyża i Narodu.

Na maleńką scenkę swej szopki — takiej krowoderskiej, z dwoma czerwonymi wieżycami, ze stajenką słomą krytą pośrodku — Michał wyprowadzał coraz to nowe, własnoręcznie wykonane (był utalentowanym rysownikiem) postaci. Kogóż tam nie było? Były oczywiście gwiazdy firmamentu wojennego, byli szarzy żołnierze, ci z daleka i ci z podziemia, byli przedstawiciele całego udręczonego narodu. W ostatniej scenie na ziemię polską spływał zwycięski polski spadochroniarz... Nieliczne grono wykonawców i równie nieliczne tych, którym danym było oglądać ową szopkę, tłumiło łzy wzruszenia...

Był wśród postaci szopki oczywiście i g ó r a l, jak na szopkę krakowską przystało.

I oto co Michał — chłop krakowski — kazał zaśpiewać bratu-góralowi, uwijającemu się po scence w sprężystych podskokach „zbójnickiego":

(Na mel.: „Pobili się dwaj górale...)

Zwiedzieli się o Krzeptowskim
Niemcy w Berlinie
I myśleli, że górale
wszyscy są świnie.
„Hej, górole" — zawołali —
„myśmy wos do nasej rasy
przyrównali!"

(Na mel.: „W murowanej piwnicy")

Mocie taki jak my nos —
Mocie taki, jak my nos —
Mocie taki, jak my pysk:
Bedziecie mieć z tego zysk!"

(Na mel.: „Hej, idę w las")

„Hej, pódźciez haw —
Boście wszyscy nordyki,
Hej, pódźciez haw —
Sprawimy wom trzewiki!"

(Na mel.: „Góralu, czy ci nie żal")

„A górol — złym okiem błysnął,
Ciupazkę mocniej zacisnął.
Rzekł: „Górol na to nie łasy,
Mo kasik te wase rasy!"

(Na mel.: „Zaszumiały góry")

„Zasumiały góry,
Zasumiały lasy
Hej, górol mo kasik
Wos i wase rasy!"

(Na mel.: „W murowanej piwnicy")

„A gdy przyjdzie na to cas,
Z ciupazeckom hop na was!
Nie zostanie po wos ślad —
To wom sprawi „nordyk-brat"!"

◆

Upłynęło trochę wody w Porońcu, nim spełniły się sercem pisane słowa Michała. „Nordyk-brat" jako partyzant zapełnił podhalańskie puszcze, skakał „z ciupazeckom" od Myślenic i Gorców aż po Dolinę Pięciu Stawów. Zawisł wreszcie i „Wacuś-bees wisioł". Po ideologach „Goralenvolku" nie pozostał ani ślad.

J. A. Maryański

KALENDARZ RODZINY POLSKIEJ WYCZERPANY

Wydany przez Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" w kilku tysiącach egzemplarzy „Kalendarz Rodziny Polskiej" na rok 1954 rozszedł się całkowicie w ciągu kilku tygodni.

Prosimy zatem nie zamawiać więcej „Kalendarza", gdyż za późno jest już na wydanie drugiego nakładu.

GWIAZDKOWA POMOC DZIECIOM POLSKIM W NIEMCZECH

Zwracamy uwagę naszym Czytelnikom, iż ofiary na gwiazdkę dla dzieci polskich w Niemczech oraz na inne cele charytatywne składać mogą za pośrednictwem „Gazety Niedzielnej", 12, Praed Mews, London, W.2.

MANIFESTACJA KATOLICKA W ALBERT HALL

W NUMERZE NOWOROCZNYM „ŻYCIA" CZYTELNICY NASI ZNAJDĄ PRZEŁOŻONE NA JĘZYK POLSKI PEŁNE TEKSTY WSZYSTKICH PRZEMÓWIEŃ, WYGŁOSZONYCH W CZASIE WIELKIEJ MANIFESTACJI KATOLIKÓW ANGIELSKICH W ALBERT HALL DNIA 3 GRUDNIA B.R. NUMER NOWOROCZNY „ŻYCIA" BĘDZIE MIAŁ 6 STRON.

DODATEK „ŻYCIE KRAJU" ukaże się dlatego w drugim tygodniu stycznia.

DO JEDNEGO Z NUMERÓW STYCZNIOWYCH DOŁĄCZONY BĘDZIE RÓWNIEŻ SPIS TREŚCI ROCZNIKA „ŻYCIA" 1953, ORAZ KALENDARZ ŚCIENNY „ŻYCIA".

JEDEN Z NUMERÓW STYCZNIOWYCH „ŻYCIA" POŚWIĘCONY BĘDZIE ZAGADNIENIU EGZYSTENCJALIZMU.

O RABELAIS'EM

Związek Pisarzy i Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie uczciły czterechsetną rocznicę śmierci Rabelais'go zajmującym wieczorem. Każde z tych zrzeszeń dało wieczorowi dwu prelegentów. Ile było przemówień?

Dwa. Bo obaj mówcy łączą tytuły profesorskie z wysoką rangą literacką, piszą (czy mówią) z naukową precyzją a badają z pisarskim polotem. Już choćby dlatego te dwa przemówienia warte były co najmniej tyle co cztery.

Profesor Stroński miał mówić o Rabelais'em „między Średniowieczem a Odrodzeniem", najwięcej jednak i najciekawiej powiedział o stosunku między człowiekiem a jego dziełem. Przekonywująco przekreślając znak równania między nimi, filuternie przeprowadził proces wybielający pamięć twórcy Gargantuy z zarzutów rozwiązłości, obżarstwa i opilstwa. Jedyny zarzut, pod adresem nie Rabelais'go, lecz mówcy: Jego obraz Średniowiecza i Odrodzenia wydał mi się odrobinę przyćmiony tymi dziewiętnastowiecznymi (prze)sądami, z którymi tak namiętnie rozprawiał się niedawno w ŻYCIU ojciec Bocheński.

Profesor Folkierski pokazał, że literaturoznawstwo porównawcze może być zabawą przykuwającą jak najlepsza powieść detektywistyczna. I czymś o wiele więcej niż zabawą. Nawet zaciekłego anty-komparatystę zmuszał do przyznania, że i po tej nitce uczony-artysta może dojść do kłębka istotnych prawd o dziele. Swój bieg tropicielski od Plutarcha do Rimbauda zaczął i skończył w doskonałej formie. Jego poważne określenia miały smakowitość dowcipów, dowcipy — ścisłość definicyj. Znakomity wykład!

Tymon Terlecki, który przewodniczył, przypomniał, mrużąc oko całkiem po strońsku, że prelegentów „łączy bardzo intymny, nie wszystkim znany stosunek". Stosunek nauczyciela do ucznia. Szkoda, że nie pomyślano, by ten stosunek rozszerzyć przez zaproszenie „na trzeciego" kogoś z najmłodszych romanistów, uczniów z kolei prof. Folkierskiego. Jeśli w ogóle kogoś takiego można było znaleźć w korcu emigracyjnego maku i... spod tego korca wyciągnąć.

M. S.

Po łepkach

WIELKA EMIGRACJA

CZŁOWIEK w dziejach nie jest może istotą niezmienną, ale z pewnością zmienia się bardzo powoli. Wątpliwe, czy człowiek zbyt się rozwinął moralnie od czasów Starego Testamentu, mimo Ewangelii Chrystusowej. Czy narody XX wieku są rzeczywiście inne, mimo wynalazków radia i penicyliny, od ludów, które nad Tygrysem i Nilem obcinały jeńcom wojennym nozdrza lub inne części ciała? Czy artysta z grot Altamiry istotnie miał słabsze poczucie piękna i znajomość techniki plastycznej od fauwistów i postimpresjonistów? Czy Huxley i Sartre precyzyjniej myślą, niż Arystoteles i dajmy na to Epikur? Toteż nie ma płytszego frazesu od zdania: „Ten człowiek nie rozumie ducha czasu", a już szczytu wieży Babel głupstwa sięga dążność do „sporządzenia syntezy naszych czasów". Aby taką syntezę sporządzić, trzeba by bowiem znać doskonale oprócz „naszych czasów" także inne czasy. Aby zaś zrozumieć „ducha naszych czasów", trzeba by mieć w małym palcu ducha czasów minionych.

Człowiek „Wielkiej Emigracji" polskiej, polistopadowej, był zapewne taki sam, jak emigrant polski z lat 1945 - 1953 et sequ. : czuł, myślał i pragnął tego samego. Były w nim także myśli i pragnienia, których nie uzewnętrzniał, bo by to raziło współczesnych, odczuwał i myślał również o wielu sprawach z pogardą i odrazą, chociaż były one w modzie i poważaniu epoki. Na pewno po kątach śmiano się z towiańczyków i na pewno w skrytości ducha demokraci marzyli o koronacji Czartoryskiego w wolnej Polsce, a trzeciomajowcy o wykonaniu programu Towarzystwa Demokratycznego. Bo człowiek składa się nie tylko z tego, co manifestuje na zewnątrz, ale i z tego wszystkiego, czego nie ujawnia.

Toteż uczucia, myśl i działalność Wielkiej Emigracji były ogromnie podobne do naszych. Różnice wynikają, po pierwsze, z przyczyn technicznych: nieco inaczej planowało się i działało w dobie konia i statku żaglowego, gdy nie było samolotu, radia, telegramu i maszyn rotacyjnych. Dalsza różnica polega na tym, że Polacy dzisiejsi nauczyli się tego i owego od poprzednich emigracji. Po prostu nauczyliśmy się emigrować i na emigracji urządzać.

Rozwój techniki — o dziwo — uwarunkował uczucia. Mickiewicz i Norwid śnili o Polsce tak, jakby jej dzierżawy leżały za siedmiu morzami. Dziś każdy emigrant wie, że samolot pocztowy Royal Air Force leci do Warszawy osiem godzin, a pociąg bez zbytniego pośpiechu osiąga granicę Polski, wyjechawszy z Londynu, w półtorej doby. Dlatego Polska jest dla współczesnego emigranta bardziej konkretna, aczkolwiek podróżowanie do Polski tak łatwe i częste w okresie Wielkiej Emigracji, jest dziś niemożliwe. Zbliża nas jednak radio (jeśli go kto słucha), książka, czasopismo, a przede wszystkim regularna i dość szybka poczta.

Bóle i zawody, marzenia i upadki Wielkiej Emigracji wywierają przemożny wpływ na nas. Po pierwsze, przez świadectwo, że byliśmy już kiedyś w podobnym, albo i gorszym, położeniu i że nie masz takowych terminów, z których byśmy przy Boskich auksyliach wynijść nie mogli. Po wtóre, nie mamy ochoty naśladować błędów poprzedników: rwać się do nie naszych Somosier, Mantui, Saragos, Tudel, Albuher i San Domingów, do legii portugalskich, algierskich, egipskich i tureckich: walczyć na barykadach Komuny i cudzych ruchów społecznych; wierzyć, że obce rządy będą bić się za naszą wyłącznie sprawę; ufać, że nasze papierowe manifesty wpłyną na położenie Kraju.

Z faktów, że historia się powtarza, a Bóg nierychliwy ale sprawiedliwy, wynika nasz trzeźwy (na ogół) stosunek wobec własnych losów i przyszłości. Nie popadamy w rozpacz i nie uważamy się za Chrystusa narodów. Tym więc jesteśmy więksi od Wielkiej Emigracji: że nie głosimy narodowego mesjanizmu. Że nie głosimy w ogóle niczego, to już inna sprawa. W każdym razie nie głosimy głupstw ni błędów.

Śmiało jednakże możemy stwierdzić, iż — oprócz wyzbycia się mesjanizmu i wszystkich na pół magicznych wolnomularstw, towianizmów, braterstwa ludów (w sensie sprzysiężeń), a co nas ogromnie upodabnia do narodów zachodnich — jesteśmy emigracją pod wieloma względami większą od Wielkiej.

Wielka Emigracja, szczerze mówiąc, emigrowała trochę na zaproszenie. W „Kursie dziejów porozbiorowych Polski" wielkiego Tarnowianina, gen. Mariana Kukiela, czytamy, że po upadku powstania 1831 roku — „zewsząd, od Lafayette'a, od Lelewela, od Czartoryskiego przychodziło to samo wezwanie: by szli na Zachód, aby swą emigracją protestować przeciw carowi i prowadzić dalszą walkę o wyzwolenie". Łatwo było wzywać, skoro we Francji powstał Komitet Pomocy Polsce i zapewniał wszystkim emigrantom skromne utrzymanie. Także rząd angielski płacił stałe pobory byłym polskim wojskowym. Natomiast w roku 1946 rządy zachodnie nakłaniały usilnie Polaków, aby się udali w przeciwnym kierunku — do Polski. Ci, którzy chcieli pozostać, musieli pomyśleć sami o swoim losie. (Dla sprawiedliwości trzeba dodać, iż z powodu nieistnienia przemysłu znalezienie pracy wiek temu było sprawą niepomiernie trudniejszą, niż obecnie.) Można zatem stwierdzić, iż decyzja wybrania emigracji była za naszych czasów o wiele bardziej dojrzała, rozmyślna i odważniejsza. Nasza emigracja nie jest w każdym razie porywem uczuciowym; u jej początku był akt woli i osobistej decyzji każdego z emigrantów. Trzeba dodać, iż sto dwadzieścia lat temu wierzono w rychłą odmianę losów, podczas gdy dziś jesteśmy cierpliwsi.

Emigracja polistopadowa składała się w większości z oficerów, polityków, społeczników, uczonych, artystów. Nasza — z masy społecznej chłopsko-mieszczańskiej. Emigranci polscy sprzed wieku reprezentowali szczyty społeczne, obecni — naród. Wówczas mawiano w Europie, że emigranci polscy to panowie, którzy wyzyskiwali pracę niewolniczą chłopów, dziś emigracja, to zarazem stan społeczny, dobrowolny wybór pracy najemnej, raczej deklasacja, niż utrzymanie życiowej pozycji. Jesteśmy emigracją pracującą, podczas gdy polistopadowa była w dużej części wegetującą i oczekującą.

Środki na życie czerpała Wielka Emigracja w ogromnej mierze z Kraju — z fortun magnackich i ziemiańskich. Takiemu Zenonowi Świętosławskiemu, przywódcy utopijnych socjalistów, przysłał ojciec jednorazowo na wyspę Jersey 100 tysięcy rubli (3.000 funtów), doradzając mu, aby kupił całą wyspę, by się uwolnić od niewygodnych sąsiadów. Cóż powiedzieć o Czartoryskich, Zamoyskich, Potockich, Krasińskich? Wówczas Kraj utrzymywał emigrację, a w każdym razie działalność polityczną na emigracji.

Dziś jest odwrotnie. Nie można wprawdzie powiedzieć, aby emigracja utrzymywała działalność polityczną w Kraju (choć może nadejść taka chwila), ale śmiało rzec można, że emigranci utrzymują ogromną ilość Polaków w Kraju. Ktoś słusznie nazwał naszą emigrację „paczkową". Te paczki i listy, wychodzące dzień w dzień ze wszystkich krajów na Zachodzie setkami tysięcy, to będzie na zawsze symbol naszego stosunku do Kraju. Niechże historia zatytułuje rozdział o naszych dziejach: „Emigracja Paczkowa". Wysoki to zaszczyt i niezła legitymacja. Tym też jesteśmy z pewnością więksi od Wielkiej Emigracji: że nie czerpiąc żadnych środków materialnych z Kraju, wysyłamy tam to, na co nas stać, a co niewątpliwie posiada znaczenie poważne. Można dodać, że nasze sentymenty ciągną nas za granicą do kupowania polskich towarów. Niech się w oknie sklepu zagranicznego pojawią czekoladki Wedla, polska kiełbasa, grzyby suszone albo i siwucha, trzeba by mieć serce z kamienia i węża w kieszeni, aby tego za ostatni grosz nie nabyć. To samo jest z książką i rzadkimi niestety okazami przemysłu artystycznego, z którego Polska przedwrześniowa tak słynęła.

Pomagamy nie tylko Polsce. Pomagamy również naszym gospodarzom. Robotnik polski dał potężne wsparcie cierpiącemu na brak sił roboczych przemysłowi brytyjskiemu i amerykańskiemu. Podatki płacone przez Polaków równoważą z wielką nadwyżką pewne pomoce obcych rządów, udzielane na naukę młodzieży, utrzymanie i pomoc lekarską dla niezdolnych do pracy. Polscy fachowcy, uczeni, technicy cieszą się wielką sławą w obcych fabrykach, laboratoriach i na katedrach. Wielka Emigracja miała w tej dziedzinie również pewne zasługi, ale nie tak wielkie, jak obecna. Oni kosztowali, my za siebie dobrze płacimy.

Bóg jeden wie, jakie będą dalsze nasze losy. Za wielką zasługę młodego pokolenia naszej emigracji trzeba poczytać, iż wzięło się z niezwykłym zapałem do pracy, do zdobywania wiedzy i doświadczenia, zamiast zbijać bąki po placach cudzych koszar. Tak np. Polska Szkoła Architektury w Anglii puściła w świat przez kilka lat istnienia ilość inżynierów, stanowiącą połowę liczby kwalifikowanych architektów w Polsce w r. 1939. Jeśli kiedyś losy się odmienią, do Polski powróci wielka armia znakomitych fachowców.

A sztuka, a literatura? Czasy nie sprzyjają tym sprawom. W świecie tłumno jest wprawdzie od polskich muzyków, malarzy, artystów scenicznych i baletowych. Czy tworzą oni dzieła wybitne, o tym powie dopiero historia. Dzieło sztuki musi fermentować latami, tak jak dobre wino. Ale prawdopodobnie pod tym względem nasza emigracja nie jest godna rozwiązać rzemyka u sandałów Wielkiej Emigracji. Ale bo też Wielka Emigracja zawdzięcza swój przydomek przede wszystkim pisarzom i twórcom sztuk pięknych, a w części też politykom. Być może, że jakiś Lelewel jest między nami, ale na Czartoryskiego nie ma nawet projektu.

Zresztą wracając do literatury, w naszej epoce tomiki pisarzy zastąpiło czasopiśmiennictwo literackie. Pod tym względem górujemy nad Wielką Emigracją.

Sztuka i polityka — to domeny Wielkiej Emigracji. My zaś przed sąd historii możemy przynieść stos pokwitowań na wysłane do Kraju paczki, spracowane ręce, czystą od nonsensów głowę i spory kuferek dyplomów młodych ludzi. I jeszcze jedno, a ważne: nasze książki, nasze materiały i wszystko to, czymeśmy świat starali się przekonać, co to jest komunizm, który jest wrogiem wspólnym Polski i świata. Może ten głos przestrogi będzie nam policzony kiedyś za zasługę nie tylko wobec Polski.

Jan Bielatowicz

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne

WYSTAWA SZTUKI FLAMANDZKIEJ

Wystawa zimowa Akademii Królewskiej na Piccadilly tym razem obejmuje sztukę flamandzką. Zgromadzono ponad 600 wysoce wartościowych i reprezentatywnych eksponatów z różnych zbiorów, zarówno brytyjskich, jak kontynentalnych, z okresu lat 1300 — 1700.

Z górą 25 lat temu, w r. 1927, odbyła się w salach Royal Academy także duża wystawa sztuki flamandzkiej, która wówczas obejmowała również gobeliny oraz malarstwo XVIII i XIX stulecia, obecnie niereprezentowane.

Jednak zdaniem krytyków, obecna wystawa pod wielu względami góruje nad poprzednią. Przede wszystkim więc specjalnie bogaty i wszechstronny jest pokaz malarstwa Van Dycka. Sprawozdawca „Observera" Nevile Wallis notuje, że równocześnie z wystawą londyńską odbywa się w Rotterdamie wielka wystawa twórczości Rubensa, który wskutek tego w Londynie nie jest tak dobrze reprezentowany, jakby mógł być i Van Dyck go zaćmiewa. Drugą zaletą wystawy londyńskiej są bardzo interesujące obrazy z okresu sztuki „prymitywnej", dalej dobry wybór dzieł P. Brueghela starszego i bogactwo iluminowanych rękopisów.

W głównej galerii znajdują się angielskie portrety Van Dycka z okresu panowania Karola I; w sąsiednich salach rozwieszono wielkie kompozycje malarskie flamandzkiego mistrza. Dobrze reprezentowani są Teniers i Pieter Breughel młodszy.

SZTUKI TEATRALNE W BBC

W ostatnim kwartale 1952 r. Home Service BBC nadało szereg sztuk, charakterystycznych dla prądów i kierunków teatru brytyjskiego w okresie 1900 — 1950. Obecnie — jak podaje „Radio Times" — w przygotowaniu jest analogiczna seria, dotycząca twórczości zagranicznej w tym samym okresie. Audycje odbywać się będą w poniedziałki pod ogólnym tytułem „Twentieth-Century Theatre". W repertuarze reprezentowani będą pisarze sceniczni Stanów Zj., Rosji, Włoch, Francji, Niemiec, Węgier, Hiszpanii i Szwecji. Polski nie uwzględniono.

Na pierwszy ogień idą: „Marco Millions" zmarłego niedawno E. O'Neilla (4 stycznia), „Maska i twarz" Luigi Chiarelli'ego (11 stycznia), „Odległy punkt" A. N. Afinogenowa (18 stycznia) oraz „Podróżnik bez bagażu" J. Anouilh'a (25 stycznia).

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno-Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. . Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godz. 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6d. kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. W P Ł A T Y : a) **w krajach bloku szterlingowego:** — Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** — International Money Orderem lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** — do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. C E N Y O G Ł O S Z E Ń : 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0, w tekście — 50 % drożej, na stronie tytułowej — 100 % drożej. P R Z E D S T A W I C I E L S T W A i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Av. Leandro N. Alem, 641, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty. Ltd.**, 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 85, Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A.; BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kulakowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. — 80 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — Z. Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella"** Librairie, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **P.M.K.**, Schorsmolenstraat, 9. Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers Suite**, 1, Western Ave., Montreal 6 oraz **International Book Service**, 220, Queen Street W., Toronto i **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man.; Prenumerata kwartalna $ 2.00. NIEMCY Przedstawiciele: **S. Mikiciuk**, Seehammerstr. 4, Bar. 16 B/2 (13 B), München 54 oraz **„Informacja Prasowa"** — Postfach 86 (23) Quackenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM.; NORWEGIA: Przedstawiciel: B. Łubiński, Fagerturveien 14, Bestun, ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gdyf Publications"** — 615 Henry Street, Utica N.Y. oraz **M. Kijowski** — 13171 McDougall, Detroit 12, Mich. oraz **J. Stojanowska**, 83, East 22nd Street, Bayonne, N. Jersey, oraz **„Pomoc" — Export Import** — 761, Filimore Ave. Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwartalna $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr. A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna Frs. 5.00. SZWECJA: Przedstawiciel: **Mgr B. Kurowski** — Lund, Revigegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 Kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme Z. Bulhak-Jelska** — via Salaria 300 C, Roma.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.